

## Prenumerata w Warszawie:

Rocznie . . . . . Rs. 7 kop. —  
 Półrocznie . . . . . „ 3 „ 50  
 Kwartalnie . . . . . „ 1 „ 75  
 Miesięcznie . . . . . „ — „ 60

Za odnośzenie do domu  
 dopłaca się kop. 5 mies.

Za zmianę adresu dopłaca  
 się kop. 20.

Cena pojedynczego nu-  
 mern bez dodatku k. 20.

# GŁOS

Prenumerata na Prowincji  
i w Cesarstwie:

Rocznie . . . . . Rs. 9 kop. —  
 Półrocznie . . . . . „ 4 „ 50  
 Kwartalnie . . . . . „ 2 „ 25

## Za Granicą:

Rocznie . . . 12 guld.—18 m.  
 Półrocznie. 6 „ 9 „

Ogłoszenia przyjmuje kan-  
 tor Redakcyi po kop. 10 za  
 wiersz petitowy lub za je-  
 go miejsce. Reklamy po  
 kop. 25.

## TYGODNIK LITERACKO-SPOŁECZNO-POLITYCZNY.

Wychodzi co Sobota.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA  
 BRACKA Nr. 25.

Co kwartał dodaje się bezpłatnie jeden  
 zeszyt dzieł naukowych.

TREŚĆ: Stara historia, przez J. L. Popławskiego.

Przyczynki do określenia stopy wartości dodatkowej na  
 kapitalistycznym gospodarstwie wiejskim, przez H. Szlegela.  
 Współzawodnictwo i współdziałalność, przez J. K. Po-  
 tockiego.

Mieszczanstwo i rzemieślnicy, przez d-ra H. Biegeleisena.

Dobre i złe sugestyje, przez M. C. Przewošką.

Z sonetów bez tytułu, przez Z. Gr.

Głosy: Koniec emigracyi.—Komisyja reprezentacyjna.—Mi-  
 le stosunki.—Wspomnienie pośmiertne.

Z obcego świata, przez J. H. Siemienieckiego.

Listy ze wsi, przez W. K. Szczęsną.

Przegląd społeczny: Łuków, Wilno, Mińsk gub., Nieśwież,  
 Petersburg.

Przegląd polityczny.

Kronika literacka.

Kronika powszechna.

Odpowiedzi od redakcyi.

Ogłoszenia.

Odcinek: Chwilowa metamorfoza, przez Z. Grabowskiego.

W dodatku: Z zakutego grodu, przez Kazimierza Gliń-  
 skiego. (Ciąg dalszy).

### Od redakcyi.

Nowoprzybyli prenumeratorowie otrzymają  
 bezpłatnie, za zgłoszeniem się, początek powie-  
 ści „Z zakutego grodu” K. Glińskiego, pierw-  
 szy zaś zeszyt „Instytucyj kościelnych” naby-  
 wać mogą po cenie niższej—kop. 30, zarówno  
 w Warszawie, jak i na prowincyi.

Polecamy szanownym czytelnikom naszym  
 świeżo wydane dzieło p. t.

#### GAWĘDY EKONOMICZNE

Przełożył i uzupełnił

Zygmunt Heryng.

Cena kop. 30.

Jest to popularny wykład całej ekonomii  
 politycznej, dostępny dla szerokich kół.

Prenumeratorowie prowincjonalni *Głosu*,  
 sprowadzający książkę wprost z redakcyi, kosz-  
 tów przesyłki nie ponoszą.

### STARA HISTORYJA.

Świeżo podniesiona sprawa nadużyć, pra-  
 ktykowanych pod firmą Muzeum przemysłu  
 i rolnictwa, odsłoniła rozmaite braki tej in-  
 stytucyi. W nowym waryjancie powtarza  
 się tu stara, dobrze znana historia naszej  
 gospodarki publicznej. Winowajca nadużyć,  
 sekretarz Muzeum, usunął się czy też został  
 usunięty. Czy to jednak jest dostatecznym

zadośćuczynieniem dla oburzonej opinii pu-  
 blicznej? Bynajmniej.

Prasa, która bardzo pobłażliwie od wielu  
 lat dokonywane nadużycia tolerowała, zado-  
 wolona teraz, że znalazła winowajcę, robi  
 owego marnego sekretarza kozłem ofiarnym  
 i na niego zwała całą odpowiedzialność za  
 to, że Muzeum w ciągu lat kilkunastu nic  
 prawie w zakresie swych zadań nie zrobiło,  
 że żadnych zbiorów nie posiada, że otrzyma-  
 ne w darze kolekcye zmarniały gdzieś na  
 strychach i w piwnicach, że wreszcie zostało  
 do tego stopnia zdyskredytowane, jak po-  
 wiada *Kuryjer Codzienny*, iż „poważniejsi ludzie  
 i przedsiębiorstwa odmawiali wszelkiego udzia-  
 łu w sprawach, które się pod egidą Muzeum  
 poczynały”.

Prawdą jest, że Muzeum za sprawą jedne-  
 go oficjalisty biurowego „przekształciło się  
 w zwykłe przedsiębiorstwo urządzania naj-  
 różnorodniejszych wystaw”, przedsiębiorstwo  
 spekulacyjne, a raczej zwyczajny „geszeft”  
 dla wyludzenia pieniędzy od wystawców i pu-  
 bliczności. Nie można jednak na tem pro-  
 stem zanotowaniu faktu poprzestać. Bo prze-  
 cie Muzeum ma zatwierdzoną przez władzę  
 ustawę, która charakter jego działalności  
 określa,—ma Komitet, który, nie mówiąc o in-  
 nych obowiązkach jego, winien prowadzić  
 ścisłą kontrolę wszystkich czynności,—ma Dy-  
 rektora, który instytucyją kieruje, i wreszcie  
 Prezesa, który z § 15 ustawy zobowiązany  
 jest pilnować prawidłowego biegu spraw.

Ciekawa rzecz, gdzie byli przez lat tyle  
 wszyscy ci panowie i co robili, kiedy ów  
 skromny „oficyjalista biurowy” rządził się,  
 jak szara gęś, w instytucyi publicznej i zrobił  
 z niej dla siebie dojną krowę. Dlaczego kie-  
 rownicy Muzeum byli tylko „nominalnymi”,  
 kiedy ustawa wyraźnie określa ich obowiązki,  
 —dlaczego podjęli się zadania, którego uc-  
 ciwie spełnić nie umieli, czy nie mogli?

Paragraf 2-gi ustawy wyraźnie powiada,  
 że do składu Muzeum należą (nie zaś wa-  
 runkowo—mogą należeć): 1) zbiory minera-  
 logiczne, botaniczne i zoologiczne w zastoso-  
 waniu do przemysłu i rolnictwa, 2) zbiory  
 maszyn, przyrządów i narzędzi, oraz rysunki  
 przedmiotów, mających zastosowanie w prze-  
 myśle i rolnictwie, 3) zbiory produktów go-  
 spodarstwa wiejskiego, oraz wyrobów fa-  
 brycznych i rękodzielniczych. Oprócz tego  
 Muzeum posiadać powinno bibliotekę spe-  
 cjalną i laboratorium dla doświadczeń.

Dotychczas żadnych porządnie ułożonych  
 zbiorów niema, ani biblioteki. Laborato-  
 ryjum, zdaje się, istnieje. Mówię—zdaje się,

bo w gmachu muzealnym mieszczą się roz-  
 maite instytucye, które po większej części  
 nic z niem wspólnego nie mają, jak np. To-  
 warzystwo popierania przemysłu i handlu,  
 stała Wystawa prób i wzorów, wreszcie parę  
 pracowni naukowych. Bez zbadania dokła-  
 dnego sprawy często niepodobna określić  
 stosunku tej lub owej instytucyi do Mu-  
 zeum.

W każdym razie faktem jest, że zbiorów  
 porządnych niema i że publiczność nie jest  
 dopuszczaną do zwiedzania Muzeum, chociaż  
 ustawa to zastrzega. Zresztą, jest to zupeł-  
 nie naturalnem, bo istotnie niema czego o-  
 glądać.

Dziwne to, doprawdy, że pp. członkowie  
 komitetu z prezesem na czele albo nie czy-  
 tali ustawy i o swoich obowiązkach nie mieli  
 pojęcia, albo nie wiedzieli, co się dzieje w in-  
 stytucyi, którą kierowali.

To samo powiedzieć można o dyrektorze,  
 pobierającym w dodatku wynagrodzenie pie-  
 niężne za pracę. Bo niepodobna chyba przy-  
 puścić, żeby ludzie, których nazwiska, zda-  
 niem prasy, „przywykliśmy szanować”, świa-  
 domie tolerowali taki stan rzeczy, gdyż w tym  
 razie ich, nie zaś skromnego „oficyjalistę  
 biurowego”, należałoby pociągnąć przed sąd  
 opinii publicznej. Ale panowie ci od odpo-  
 wiedzialności uwolnieni być nie mogą, jeżeli  
 nawet tylko lenistwem lub niedołęztwem  
 grzeszyli. Nie wolno na siebie brać obo-  
 wiązków publicznych, jeżeli się nie umie czy  
 niechce sumiennie ich wykonywać.

Prezes dyrektor, i członkowie komitetu mieli  
 prawo zarządu i kontroli; jeżeli z prawa tego  
 nie korzystali i pozwalali, ażeby p. Kossow-  
 ski, sekretarz instytucyi, robił, co mu się po-  
 dobało—muszą teraz wziąć na swe barki  
 znaczną część tej odpowiedzialności, jaka za  
 dokonane nadużycia na instytucyi ciąży i cał-  
 kowitą odpowiedzialność za to, że Muzeum  
 nie odpowiada zgoła swemu zadaniu.

Członkowie komitetu wybierani są, według  
 ustawy, dożywotnie z grona założycieli pier-  
 wotnych, następnie zaś również z pomiędzy  
 członków Muzeum. Pierwotny komplet ko-  
 mitetu w ciągu lat kilkunastu uległ już pew-  
 nym zmianom wskutek śmierci członków,  
 jeżeli więc należące do składu tej instytucyi  
 osoby czuły, że nie umieją należycie wywią-  
 zać się ze swych obowiązków, mogły dobrać  
 sobie bardziej odpowiednich towarzyszy.

W każdym zaś razie łatwo zmienić było  
 prezesa, wybieranego na dwa lata; znaleźć  
 człowieka, bardziej dbałego o rozwój insty-  
 tucyi, nie tak po ojcowsku pobłażliwego dla



sprawek sekretarza. Łatwo również było dobrać bardziej energicznego dyrektora, któryby umiał skorzystać ze swych praw i nie pozwalał wodzić się za nos „oficyjaliście biurowemu”, chociażby protegowanemu przez prezesa.

Liczba członków Muzeum, t. j. osób, płacących jednorazowo 500 rs. lub 25 rs. rocznie, jest dosyć znaczną, a mogłaby być o wiele znaczniejszą, gdyby instytucja rozwijała się prawidłowo. Niewątpliwie z pomiędzy nich możnaby zebrać odpowiedni komplet członków komitetu. Ale przywilej dożywnotnego zasiadania w instytucji kierowniczej stoi temu na przeszkodzie. Należałoby więc komitetowi wystarać się o zmianę tego paragrafu, bo dobrowolnie usunąć się nie może, gdyż ustawa nie przewiduje takiego wypadku.

Jak słusznie przed kilkoma laty zauważył p. W. Rudnicki, monopol prowadzenia u nas spraw publicznych przywłaszczyła sobie pewna koteryja ludzi, która albo w interesie osobistym działa, albo wszelką inną działalność, chociażby najbardziej pożyteczną, paraliżuje, i jeżeli sama robić czegoś nie chce czy nie umie, nikomu innemu robić nie pozwala.

Członkowie tej wpływowej koteryi opanowali wszystkie prawie instytucje publiczne, bądź osobiście, bądź przez swoich popleczników.

Wiecznie jedni i ci sami ludzie występują we wszystkich instytucjach, we wszystkich sprawach społecznych. Prasa chwali ich energię, publiczność podziwia ich gorliwość obywatelską. Nikt nie pyta: czy jedni i ci sami ludzie mogą tyle różnorodnych obowiązków spełniać, nikt nie bada, dla czego to robią, nikt nie posądza tych zasłużonych, że nsuwają ludzi, którzyby o wiele pożyteczniej od nich działać mogli, gdyby ich do steru dopuszczono. U nas, bardziej niż gdziekolwiek indziej, kumulacja zajęć i urzędów obywatelskich jest niepotrzebną, bo o wiele

mniej jest stanowisk wolnych, aniżeli ludzi odpowiednio do zajęcia tych stanowisk przygotowanych. U nas, gdzie tyle energii i umiejętności fachowej marnieje nieraz bez właściwego zastosowania, niema żadnej racji stwarzać synekur dla niedołęztwa, ani popierać procederu chwywania wszystkich srok za ogon, aby przystroić się w wyrwane z ogonów tych piórka. Żadna instytucja społeczna prawidłowo u nas funkcjonować nie może, bo zaraz znajdują się wysortowani mężowie zasługi, gorliwi obywatele „do wszystkiego”, którzy u steru jej zasiadają i rozrywani na wszystkie strony, albo obarczeni mnóstwem chociażby tytularnych obowiązków, sami się nie ruszą, ani innym ruszać się nie pozwolą. A pod opiekuńczym skrzydłem tych wybranych wegetuje niedołęztwo starcze, rozkwita wszelka miernota, bujnie pleni się prywata.

Opinia publiczna jedynie mogłaby temu skutecznie przeciwdziałać, gdyby miała odwagę mówienia prawdy w oczy i pozbyła się zwyczaju mierzenia działalności obywatelskiej ludzi wiekiem ich, dawno już wynagrodzonymi zasługami, stanowiskiem społecznym lub ilością zręcznie schwytych synekur. Ale opinia publiczna u nas czasem nawet gwałtownie oburzyć się potrafi, prędko jednak folguje i, zadowolniejszy się ofiarą odanego na jej zemstę „oficyjalisty biurowego”, kornie znowu schyla głowę przed ludźmi, „których przywykliśmy szanować” nawet wtedy, kiedy z ich winy dzieją się różne nadużycia.

J. L. Popławski.

### PRZYCZYNEK DO OKREŚLENIA STOPY WARTOŚCI DODATKOWEJ w kapitalistycznym gospodarstwie wiejskim.

„Wartość dodatkowa”, mówi Marx w swoim „kapitale”: „zrodzona podczas produkcji przez wyłożony kapitał, przedstawia się przede-

wszystkiem, jako przewyżka wartości wytworu nad wartością czynników jego produkcji”; wyraża zaś to następująca formuła:  $C$  (kapitał) =  $c$  (kapitał stały) +  $v$  (kapitał zmienny); po ukończeniu produkcji, otrzymujemy towar, wartość którego równa się:  $c+v+p$  (wartość dodatkowa). Stosunek wartości dodatkowej do kapitału zmiennego  $p/v$ , określający stopień wyzysku pracy, Marx nazywa „stopą wartości dodatkowej”.

Posiłkując się przytoczonym określeniem i formułą, postaram się określić stopę wartości dodatkowej w gospodarstwie kapitalistycznym, t. j. produkującym za pomocą najemnej pracy wymienne wartości—towary. Dla wyliczenia swego biorę kulturę najczęściej rozpowszechnionych roślin przy przeciętnych warunkach uprawy i urodzaju i posługuję się normami, określającymi ilość potrzebnych dni roboczych i inwentarza dla wypełnienia każdej detalicznej funkcji gospodarczej. Normy, o których mówię, są przyjęte w większych gospodarstwach wiejskich i otrzymane drogą indukcji za długi przeciąg czas. Ażeby nie utrudniać zbytnio czytelników w następującej tabelicy N. 1 pokazuję w ogólnych cyfrach na mórg uprawionej rośliny: rozchód siły roboczej dla wypełnienia orki, zasiewu, zbioru, omłotu, młocarni parowa, oczyszczenia ziarna i wózki do szpiczlerzy; wartość pieniężną siły roboczej i nasion, a także „ogólne rozchody”—administracja, 10% amortyzacji żywego i martwego inwentarza, remont narzędzi rolniczych i t. p.

Rozchód na morgi:

Nr. 1). Pszenica wołów par 4,8 na sumę rs. 2 kop. 88, koni 3,5 na sumę rs. 1 kop. 40, nasion 3 pudy na sumę rs. 2 kop. 40, robotników 15 na sumę rs. 5 kop. 61, ogólny rozchód rs. 7, razem rs. 19 k. 29.

Żyto: wołów par 2,8 na sumę rs. 1 kop. 88, koni 3,1 na sumę rs. 1 k. 24, nasion 5 pudów na rs. 3, robotników 10,7 na sumę rs. 4 k. 6, ogólny rozchód rs. 7, razem rs. 17 k. 18.

Rzepak: wołów par 4,5 na sumę rs. 2 kop. 70, koni 4,2 na sumę rs. 1 k. 68, nasion  $\frac{1}{2}$  p. na sumę kop. 60, robotników 13,5 na sumę rs. 5 k. 17, ogólny rozchód rs. 7, razem rs. 17 kop. 15.

Owies: wołów par 2,6 na sumę rs. 1 k. 56, koni 2,4 na sumę kop. 96, nasion 6 pudów na sumę rs. 3, robotników 9,2 na sumę rs. 3 kop. 31, ogólny rozchód rs. 7, razem rs. 15 kop. 83.

## CHWILOWA METAMORFOZA

(OBRAZEK Z ŻYCIA).

### I.

Gdy przybył do miasta X..., posiadał wszystkie warunki wywalczenia i zapewnienia sobie i swoim niezależnego stanowiska: zdrowie, umysł trzeźwy, wysokie wykształcenie i szczerą chęć do pracy. A miał dla kogo pracować przecie, bo za nim była żona i czworo drobnych dzieci.

Przyjechawszy do X... znalazł wielu dawnych znajomych, bądź własnych, bądź starych druhów rodziny—poznał się z wieloma osobami wpływowymi w mieście. Sto dłoni do wyciągnięcia, obdarzono stem uśmiechów, w stu miejscach obiecano upragnioną przezeń pracę.

O stałym zajęciu marzyć nie można było—stałe bowiem zajęcia, w miarę jak się pojawiały, zajmowano bądź szturmem z całym szeregiem zebranych ciotek, pięknych żon, lub pięknych sióstr i córek, wysyłanych na pierwszy ogień.

On żony nie byłby posłał tam za żadną cenę—miał ciotkę, ale głuchą, ślepa i kulawa, a córeczka nie skończyła jeszcze lat czterech, musiał tedy wyrzec się nadziei jakiejś miesięcznej pensji, stałego kawałka chleba dla rodziny.

Zaczął tedy zużytkowywać swe zdolności, drobne talenciki i t. p., co wszystko przynosiło mu zarobek dorywczy, mizerny, sprowadzający całe szeregi upokorzeń. Był jak owi przyzwyczajeni odziani nędzarze, wstydzący się że-

brać otwarcie, przynoszący ładnie klejone pudełeczka, kwiatki z chleba wygniatane, lub piłką rzeźbioną deszczułki, i przyjmujący za nie po kilka złotych lub po kilka rubli.

Znalazłszy w jakim piśmie niemieckim, francuzkiem, lub angielskiem artykuł, który, jak sądził, mógłby obchodzić jego ogół, przekładał i zanosił redakcyjom, lecz przyjmowano jego pracę, jako rzecz bez wartości, płacono połowę lub jedną trzecią honorarium, jak jałmużnę.

Czasem popełniał wierszyk, niegorszy niż inni, lecz odpowiadano mu stereotypem: mamy stałych naszych poetów, głosnych w kraju: Iks-otów, Kwik-otów, Huś-tawów i t. p.

Żył jednak i żyli jego ukochani; czego brakło w domu dopełniała poczciwa Adelfangowa z Kościelnej ulicy, pożyczając na poduszki dziesięciurublowe po rublu z 80%, lub, przez magnatów świeżo założoną, „ciotka” (lombard).

Że jednak wszystko w życiu ma swój koniec, zabrakło poduszek i domowych gratów, dla hrabskiej „ciotki” kosztownostek. Wtedy, pod dach nędzarza, na tryumfalnym swym wozie, zawitała nędza, nędza straszliwa, ohydna, wstrętna w swym brudzie i rozczochraniu, łamiąca najsilniejsze usposobienia, druzgocząca dokoła wszystko w swem potwornym objęciu.

Gdy raz dzieci krzyknęły z płaczem: tatusiu, jesteście głodni, gdy w oczach żony dostrzegł tłumione łzy, zauważył bladeść jej oblicza i faszczkę z „podrabianem” mlekiem, starannie dotąd ukrywaną, a z której Benjaminek ciągnął wtedy tylko, gdy mu prawdziwy głód szarpał wątle, małeńkie trzewia, zrzucił pychę z serca i zakolał do wrót dobroczynności.

Tam, odesłano go do opiekuna cyrkulowego.

— Niepojmuję natręctwa! — rzekł wysoki urzędnik filantropii. Cóż ja panu dam? pięćdziesiąt kopiejek lub rubla najwięcej. Towarzystwo ma fundusze, zbiera składki i t. p. ale ma swoich stałych biednych. Czy pan należysz do towarzystwa? nie, prawda? jakimże tedy prawem miałoby czynić uszczerbek innym, obcinać im stałe zapomogi?... Pańska nędza do wyjątkowych należy i ma swoje biuro...

Nazajutrz, wspaniały powóz, zaprzężony parą przepysznych koni, zatrzymał się przed bramą domu, w którym mieszkali nędzarze.

Wysiadły zeń: jakaś otyła, cała obwieszona świecidełkami, chrząszcząca atlasami, z dużym, czerwonym nosem dama.

Poszła do właściciela domu.

— Pan X... mieszka u pana?

— A, przecie, na moje ukaranie i utrapienie...

— Co to za człowiek?

Pan radca (był radcą w towarzystwie asenizacyjnym) ruszył pogardliwie ramionami.

— Co za człowiek? prawdę mówiąc: lichy, lichy i nierzetelny...

— Przepraszam! — zawołała i wyszła.

To samo pytanie zadała jakiejś sąsiadce, handlującej rakami na rynku.

— Oj, oj! to ci figury dopiero! on buty ma dziurawe, ale cylinder na uchu; ona, gra rolę księżnej, nawet zagadać do nich nie można. Obieżyświaty i tyła.

W bramie czatował już stróż, kawałek hulaki i spory kawał pasera.

— Jasnie pani pyta o tego tam z pod strychu?

— Tak?—czy to porządny człowiek?



Jęczmień: wołów par 2,7 na sumę rs. 1 kop. 62, koni 2,5 na sumę rs. 1, nasion 4 pudy na sumę rs. 2 k. 40, robotników 10,3 na sumę rs. 3 k. 64, ogólny rozchód rs. 7, razem rs. 15 kop. 66.

Kukurudza: wołów par 3 na sumę rs. 1 kop. 80, koni 7,5 na sumę rs. 3, nasion 1 1/2 puda na sumę kop. 90, robotników 51 na sumę rs. 11 k. 14, ogólny rozchód rs. 7, razem rs. 23 kop. 84.

Bób: wołów par 3 na sumę rs. 1 k. 80, koni 4,8 na sumę rs. 1 k. 92, nasion 5 pudów na sumę rs. 4, robotników 28,7 na sumę rs. 6 k. 5, ogólny rozchód rs. 7, razem rs. 20 k. 77.

W tablicy Nr. 2 wykazany jest urodzaj ziarna na morgę, wartość jego i dochód z kultury każdej rośliny:

Przychód na morg:

Nr. 2). Pszenica 50 p. na sumę rs. 40, dochód rs. 2 k. 71.

Żyto 50 p. na sumę rs. 30, dochód rs. 12 kop. 82.

Rzepak 40 p. na sumę rs. 44, dochód rs. 26 kop. 85.

Owies 50 p. na sumę rs. 25, dochód rs. 9 kop. 17.

Jęczmień 50 p. na sumę rs. 30, dochód rs. 14 k. 34.

Kukurudza 90 p. na sumę rs. 45, dochód rs. 21 k. 16.

Bób 60 p. na sumę rs. 36, dochód rs. 15 kop. 23.

Stopa wartości dodatkowej, według formuły p/v, t. j. wartość dodatkowa: kapitał zmienny, dla każdego zboża będzie następująca:

Pszenica	$\frac{20,71}{5,61} = 3,69 = 369\%$
Żyto	$\frac{12,82}{4,06} = 3,15 = 315\%$
Rzepak	$\frac{26,85}{5,17} = 5,19 = 519\%$
Owies	$\frac{9,17}{3,31} = 2,77 = 277\%$
Jęczmień	$\frac{14,34}{3,64} = 3,94 = 394\%$
Kukurudza	$\frac{21,16}{11,14} = 1,9 = 190\%$
Bób	$\frac{15,23}{6,05} = 2,51 = 251\%$

Przeciętnie stopa wartości dodatkowej równa się 330%.

Jeżeli płacę dzienną robotnikowi przyjmujemy 30 kop., to kapitalista zarabia na nim 99 kop. dziennie. Wartość towaru wytworzonego przez robotnika równa się: c (kapitał stały) + v (kapitał zmienny) + p (wartość dodatkowa—dochód kapitalisty). Przyporównując kapitał stały do zera, ponieważ wartość jego przechodzi całkowicie na wytwór robotnika, otrzymamy, iż robotnik stwarza płacę swoją (v—kapitał zmienny) i nadatek (p—wartość dodatkową).

W danym razie robotnik wytwarza 30 kop. + 99 kop. = 1 rs. 29 k.

Gdyby robotnik sam był kapitalistą, t. j. właścicielem ziemi i narzędzi pracy, to otrzymywał by dziennie w miejscu 30 kop. — 1 rs. 29 kop., a więc dobrobyt jego podniósłby się o 430%.

Henryk Szlegel.

### Współzawodnictwo i współdziałanie.

Herbert Spencer From freedom to bondage. David Ritchie Darwinism and politics. Laurence Gronlund Our Destiny.

Przed paru tygodniami grono uczonych angielskich wydało zbiorową pracę p. t. *Obrona wolności (Plea for liberty)*; zadaniem jej jest przeciwdziałać szerzącym się coraz bardziej ruchom i teoryjom socjalistycznym, które, zdaniem autorów, właśnie mają skrepić bronią przez nich wolność. W książce owej spotykamy imiona: Wordswortha, Stanleja Robertsona, Donisthorpe'a, George'a Howella, Anberona Herberta i innych, zaś wstępny rozdział, streszczający w sobie cele i charakter całej pracy, napisany jest przez Herberta Spencera. Jednocześnie prawie ukazało się też małe dziełko Dawida Ritchiego, jednego z członków londyńskiego *Fabian Society*, poświęcone roztrząsaniu stosunku darwinowskiej teorii walki o byt do nauk oraz zjawisk społecznych. Nakoniec, Laurence Gronlund wydał również niedawno książkę p. t. *Our Destiny*, w której roztrząsa stosunek współdziałania do współzawodnictwa. Ponieważ ideałem i głównym środkiem zaradczym, przez pierwszą grupę autorów proponowanym, jest wolne współzawodnictwo jednostek ludzkich, zaś Ritchiego i Gronlunda książki prawie wyłącznie rozbioro-

wi skutków i prawowitości takiego współzawodnictwa się oddają, przeto zestawienie i krytyczna ocena poglądów Spencera, Gronlunda i Ritchiego może, całkiem właściwie, utworzyć przedmiot osobnego studjum, mającego na celu wyświetlenie owego, tak często przedstawianego opacznie, stosunku — pomiędzy współdziałaniem a współzawodnictwem. Streszcimy naprzód poglądy Spencera, później zaś, krytykę ich tu i owdzie popierać będziemy argumentacją czerpaną z książek Ritchiego i Gronlunda.

Obecną rozprawę swoją zaczyna Spencer od paradoksu, na który kładzie nawet dość wielki nacisk, pragnąc odpowiednio przygotować umysły czytelników. Jednym z najwybitniejszych przykładów sprzeczności pomiędzy pospolitemi wnioskami o sprawach społecznych oraz wydarzeniami rzeczywistymi jest ten fakt, że, im bardziej się poprawia jakaś sfera społecznych stosunków, tem głośniejszymi się stają wyrzekania na ich ujemność: kiedy np. położenie kobiet było okropne, nikomu nie przychodziło na myśl ujmować się za nimi; dzisiaj, gdy jest im bez porównania lepiej — powszechnie prawie są krzyki o ich niedoli. Nie wytłumaczywszy swym czytelnikom przyczyn tego mniemanego „paradoksu”, w którym więzami przyczynowości złączono domyślnie dwa, bynajmniej nie łączące się w taki sposób, zjawiska, autor zaznacza tylko, że „paradoks” stosuje się również do t. zw. kwestyi robotniczej: o niedoli klas pracujących najwięcej mówi się teraz właśnie, kiedy jest im daleko lepiej, niż było dawniej.

Ale, obrońcy warstw pracujących, a i one same, nie zadawalniając się prostem li tylko utyskiwaniem, myślą o pewnej organizacji wytwarzania, podziału i spożywania bogactw. Plany ich nie doprowadzą do celów pożądaných, natomiast wtrąca ludzkość w otchłań niewoli.

Kiedy, czytamy dalej, jednostka znajduje się pod nieosobowym przymusem przyrody, mówimy o niej, iż jest wolną; kiedy zaś podlega przymusowi kogoś, co stoi ponad nią, wówczas, odpowiednio do stopnia jej zależności, nazywamy ją: niewolnikiem, pańszczyznianym sługą, wasalem, albo też — dodałbym od siebie — najemnikiem, oficjalistą, dzieckiem, uczniem, wychowalcem i t. d.

Używając wyrazu kooperacja (współdziałanie) w jego znaczeniu szerokim, nie zaś w nadawanem mu dziś pospolicie ograniczonym znaczeniu, możemy powiedzieć — ciągle słowa Spencera — iż życie społeczne toczyć się musi

— To jak tam do porządku... pije na śmierć, a człowiekowi skąpi dychacza po północy... Mimo to, jasna pani zaczęła pójść na górę. Zapukała do drzwi, wrzawa jaką robiły dzieci ucichła nagle, ozwały się tylko radośne szepty, które słyszała: tatuś idzie, jeść nam przynosi!

Była tam obszerna dość izba, z tak zwanym cygankiem w jednym z kątów, zamiast mebli dwa stare żelazne łóżka zasłane siennikami, jedno dziecinne i kołyska, przykryta szarą, podartą na poły chuścina. Prócz tego szafeczka do garnków i naczyń, kufer podróżny i trzy wyplatane ongi, teraz z wyrwaną trzcina krzeselka, z siedzeniem wypełnionem krzyżującymi się sznurkami.

Na jednym z łóżek, dość piękna adamoszkowa kołdra z haftowanym ręcznie prześcieradłem i dwie poduszki.

Jasna pani rozejrzała się po izbie i rzekła do żony biedaka:

— Podobno państwo jesteście w nieszczęśliwym położeniu, mąż podawał proźbę.

— Tak proszę pani.

— Jednakże, prawdziwej nędzy ja tutaj jeszcze nie widzę; oto piękna bardzo kołdra, są i poduszki, jest kufer podróżny, który ma wartość z jakie dziesięć rubli...

Odchyliła róg łóżka.

— Oh, dodała — jest i materac włosiany... A pani czym się zajmujecie?

— Pielęgnuję dzieci! — szepnęła tłumiąc łzy.

— I staram się o coraz nowel! — dopowiedziała brutalnie wielka pani. Należałoby zająć się lepiej pracą...

— A dzieci? — nie mamy służącej...

— Dzieci? — do ochronki... ja sama mam taką, wydaję na nią grube pieniądze rocznie...

Wyjęła rubla drobnymi i położyła na małym stoliku.

— Niewesoło tu, przyznaję — zakończyła, ale to jeszcze nie nędza, a głównie nie wyjątkowa...

Skinęła głową i wyszła.

#### II.

Niebawem, prócz głodu, zakradły się choroby na poddasze: odra, szkarlatyna, krup, zapalenie oskrzeli...

Nastała jesień surowa, dzieci biegały po izbie boso, aż nareszcie, przeziębwszy się, zaległy łóże. Cudem jakimś znalazł się lekarz litościwy i litościwa apteka, zadecydowano operację.

— Trzeba będzie męża pani przenieść do lecznicy... — mówił przepisując jakieś lekarstwo.

Gdy wyszedł nieszczęśliwa załamała ręce.

— Co będzie z nami szepnęła.

— Zostanę w domu! — odparł złamany.

— Ależ to śmierć pewna...

Potrząsała głową.

— Lepiej wam może będzie potem.

Przyniesiono jakieś brukowe pisemko.

Ona wzięła je i na czele wiadomości bieżących znalazła artykuł tak dziwny, że, zwracając się do męża:

— Posłuchaj — rzekła, i zaczęła czytać głośno, przy kopającej naftowej lampce kuchennej.

#### „Katastrofa w zwierzyńcu.

„Piszemy przejściu niema boleścią. Dokoła nas jęki rozpacz, chrapanie konania, stoimy wobec czterech trupów, a będzie ich pono więcej! Dzięki naszemu niedbalstwu, zabawka

dziątek naszych, tych lubych Milusińskich, zniknie niedługo z powierzchni naszego grodu”.

„Oto w klatkach zwierzyńca leżą dwa trupy mały i jednego wilka, pod berłem, w innej klatce, leży martwa owa śliczna białe — pióra papuga...”

„Ludzie dobrej woli, ludzie szlachetni, którzy dla dobra ogółu założyli zwierzyńiec, nie mogąc nadal pokrywać wydatków i doglądać go należycie, dzięki obojętności publiczności, musieli powierzyć karmienie Herszkowi Kwiczelaśowi... Niezdrowe mięso truje niewinne stworzenia, a znikąd łaski, znikąd pomocy, ni nadziei”.

„Zwracamy się tedy do szlachetności naszych lekarzy i weterynarzy, do ofiarności naszego społeczeństwa”.

„Oh, jakże to strasznie było patrzeć na cierpienia biednych zwierząt, nie mogących już przyjmować pożywienia... łaknących go, pamiętających malutkie rączki naszych Milusińskich i smakowite kąski przez nie rzucane”.

„Jest np. jedna małpa, która załamuje ręce i giestami znać daje... Inna... płacze rzewnie, inna jeszcze, patrząc na trupka, siostry może, siedzi ponura, zadumana...”

„Czyżby serca nasze były kamienne? — czyżbyśmy skąpić mieli grosza wobec takiej niedoli?”

Na czele zaś wypadków bieżących:

„Otrzymujemy telefonem następujące zawiadomienia”:

„Lekarze X... i Y..., oraz weterynarz Z... pierwsi pośpieszyli z bezinteresowną pomocą... niestety jednak usiłowania ich niewystarczają... Król pustyni kona już od kilku godzin, dano mu silną dozę chininy, następnie wprowa-



(*must be carried on*) za sprawą kooperacji, bądź dobrowolnej, bądź też przymusowej. Systemat pierwszej cechować ma, zdaniem autora, przemysłową działalność dzisiejszych społeczeństw cywilizowanych; wcieleniem systemu przymusowej kooperacji jest wojsko. Oprócz świadomej kooperacji dobrowolnej każdego z zakładów przemysłowych, spostrzegamy, nadto, w społeczeństwach dobrowolną kooperację bezwiedną — o wiele rozciąglejszą — kooperację pracowników wszelkiego stopnia w społeczności całej. Kooperacja przymusowa, niegdyś, jak np. w starożytnym Peru, cechowała całą społeczność wogóle — tak, iż słudzy, niewolnicy, kobiety, była tylko jakgdyby stałym „komisarjatem” wojującej części. Z biegiem czasu, jednak, więzy owego przymusu rozluźniły się i nadszedł okres „wolnego” współzawodnictwa jednostek.

Tymczasem, ustawiczny niepokój z powodu ciężkich warunków bytu stale wywołuje w nas żądze spróbowania, czy inny układ stosunków społecznych nie będzie lepszy — i oto zjawiają się ludzie, którzy dla zaradzenia złemu proponują znowu system kooperacji przymusowej, zasadniczo podobny do tego, jaki przeżyła już ludzkość, od jakiego uwolniła się kiedyś z taką radością. System ten musi być przymusowym: będą musiały istnieć tam stopnie wyższe i niższe oraz wzajemna ich subordynacja; nie inaczej będzie można uczestniczyć w dobrach życia społecznego, jak tylko za cenę poddania żywej swojej osobowości pod rozkazy i reglamentację innych. Ale ustrój taki, w jego postaci idealnej, przez projektodawców oczekiwanej, utrzymać się długo nie zdoła. Prawem wszystkich zjawisk świata jest ciągłe przeobrażenie. Zmiana w sprawach społecznych jest rzeczą równie nieuchronną, jak i w innych. Reformy i konstytucje papierowe wywołują tylko uśmiech na oblicza praktycznych mężów stanu, wiedzących, iż najważniejszym czynnikiem w dziele przeobrażeń społecznych jest charakter jednostek. Otóż, jeśli tylko nie nastąpi cudowne jakieś podniesienie się ludzkiej przyrody — projektowane reformy doprowadzą do straszliwego biurokratyzmu, o jakim państwa dzisiejsze nie dają prawie wyobrażenia.

Obecny stan społeczeństw, czytamy jeszcze, jest stanem przejściowym, tak samo jak stany minione. Nastąpi kiedyś stan inny, o tyleż różniący się od obecnego, o ile ten różni się od przeszłości. W *Statyce społecznej*, jak również we *Wstępie do Socjologii*, oraz w *Instytucjach polity-*

*cznych* jasno wypowiedzianem jest pragnienie jakiegoś innego stanu, bardziej sprzyjającego dobrobytowi ludzi, niż obecny. Opozycja przeto autora przeciwko socjalizmowi wypływa z jego wiary, iż socjalizm powstrzyma postępy nasze ku owemu stanowi wyższemu i cofnie nas ku niższości. Jedynie tylko powolne przeobrażanie przyrody ludzkiej — za sprawą dyscypliny społecznego życia — może spowodować zmiany stale pożyteczne.

Zasadniczym błędem wszystkich prawie stronnictw, tak politycznych, jak i społecznych, jest przypuszczenie, że złe może być uleczone natychmiast i radykalnie. Wszelka wiara podobna nie ma podstawy należytej. Możliwym jest usunięcie przyczyn, złe potęgających, możliwą przemiana jednej postaci złego na inną, na koniec, możliwym jest i bardzo pospolitom pogarszanie złego za sprawą wysiłków, mających mu zapobiegać; ale niemożliwością jest wszelkie wyleczenie natychmiastowe. W ciągu lat tysięcy ludzkość, rozradzając się coraz bardziej, zmuszoną była przejść od pierwotnej dzikości, kiedy małe grupy żyły się pokarmem surowym, do stanu cywilizacji, gdzie sprawa wyżywienia mas wielkich domaga się pracy ustawicznej. Charakter, duchowa i fizyczna przyroda jednostek, niezbędne do tego drugiego rodzaju życia, różnią się bardzo od tych, jakich wymagało życie tamte; to też, potrzeba będzie przebywać jeszcze długi okres cierpień, zanim przeobrażenie potrzebne się dokona. Z wszelkich ustaw, niezgodnych z dzisiejszą przyrodą człowieka — klęski tylko mogą wypłynąć; z drugiej zaś strony, ustawy, odziedziczone po ludziach pierwotnych, niezgodne są z warunkami, wśród jakich żyć muszą dzisiejsi. Ztąd to niemożliwością jest natychmiastowe utrwalenie jakiegoś stanu całkiem zadawalniającego. Ani taka przyroda jednostek, jaka napełniła Europę milionami ludzi zbrojnych — tu żadnych podboju, owdzie odwetu, — ani taka, co popycha narody, zwane chrześcijańskimi, do współzawodnictwa w przedsięwzięciu zbójceckim po całym świecie wypraw — bez uwzględnienia praw tubylców — na co dziesiątki tysięcy kapłanów religii miłości patrzą przychylnie — ani taka przyroda, która w stosunku do ras słabszych przekroczyła pierwotną zasadę „życia za życie”, biorąc „życie wielu za jedno” — ani żadna tego rodzaju przyroda nie może posłużyć ku wytworzeniu społeczności harmonijnej. Źródłem wszelkich prawidłowych (*well-ordered*) działań społecznych jest uczucie sprawiedliwości, domagające się

jednocześnie wolności własnej i troskliwe o cudzą wolność; otóż, obecnie istnieje bardzo mały zasób tego uczucia.

Ztąd wypływa potrzeba dalszego jeszcze trwania takiej dyscypliny społecznej, wymagającej, aby każdy sam prowadził swoje sprawy, uwzględniając przytem także prawo innych — dyscypliny, która, domagając się, aby każdy odnosił wszelkie korzyści swego postępowania, żąda również, aby nie obarczał on innych złemi skutkami swych czynów, chyba, że sami oni zechcą wziąć na siebie to brzemie. Ztąd, na koniec, pochodzi przeświadczenie autora, że chęć usunięcia owej dyscypliny nie tylko nie może być zaspokojoną, ale doprowadzi do gorszych klęsk, niż te, jakich mamy uniknąć.

Dla tego też bynajmniej nie w interesie samych li tylko pracodawców, ale również w interesie robotników, powiada autor, należy opierać się socjalizmowi. Wytwarzanie regulowanem być musi w taki lub inny sposób; kierownicy zaś jego z samego porządku rzeczy muszą stanowić zawsze klasę nieliczną w porównaniu z wytwórcami rzeczywiście. Wobec współdziałania dobrowolnego, jakie widzimy dzisiaj, kierownicy biorą sobie taką część wytworu, jaką zdobyć mogą dzięki przyniomom swym osobistym; ale, jak to wskazują nam codziennie postępy trades-unionów, samolubna kierownictwa tych pogoń za zyskiem znajduje hamulec. Przy współdziałaniu przymusowym, do jakiego musiałby doprowadzić socjalizm, kierownicy, ścigając osobiste swe cele z nieminiejszym sobkowstwem, nie napotykaliby już zjednoczonego oporu pracowników wolnych; władza zaś ich, niepowściągnięta przez bezrobocie, byłaby urosła, rozszerzyła się i wzmożona tak dalece, iż stałaby się niepokonana. Ostatecznym tego wynikiem, jak zaznaczono wyżej, byłaby społeczność taka, jak w starożytnym Peru, gdzie ogół narodu, podzielony na dziesiątki, trzydziestki, setki, pięćsetki i tysiące, podległy oficerom odpowiednich stopni, przytwierdzony do danych dzielnic kraju, znosić musiał dozór zarówno w życiu swym domowym, jak i w zatrudnieniach, i dźwigał beznadziejnie brzemie trudu, ku utrzymaniu organizacji rządowej.

Taką jest treść artykułu Spencera; poglądy Ritchiego i Gronlunda poznamy później, oceniając ostatni utwór jednego z największych obrońców *laissez-faire* yzmu.

J. K. Potocki.

dzono do trzew, za pomocą przeczyszczenia: pięć kwart śmietanki z żółtkami i koniakiem...”

„Godzina 4-ta po południu”.

„Król pustyni — zgubiony bez ratunku. Te same objawy otrucia, vel zakażenia, okazały się na lamparcie i na tygryscy. Serce ból ścisła patrząc na ich męczarnie”.

„Godzina 4-ta i pół. Hyjena okazuje wielki smutek i przygnębienie — orzeł, opuściwszy skrzydła ku ziemi, siedzi na berle zaszępiony.

Notujemy ofiarodawców: hr. Nicefora Owinińska rs. 100, hr. Ludwik Żydolubski rs. 150, obywatel Gelb, sędzia, obietnicę placu darmo pod nowy zwierzyńiec, obszaru 30,000 ł. □. Maniusia, Józio, Henio, Cesia i Aniela po 2 rs. ze swych oszczędności...”

Godzina 5-ta i pół. Lew i tygrys, martwe. Znakomity nasz rzeźbiarz Gapski zdejmując maski pośmiertne, będą wystawione w witrynie naszej redakcji. Znakomity nasz fotograf błyskawicznym aparatem odtworzy wierne zakopanie zwłok na polu, u mistrza...”

Redakcyjna nasza przeznacza 150 rs. urzędzi w nadchodzącą niedzielę raut jesienny w swych salonach, udział naszego sławnego tenora z góry zapewniony...”

Chory patrzył i słuchał zdziwiony, z początku z nachmurzonym obliczem. Nagle jednak rozpoznało się, błąd uśmiech okraszył je, walcząc z bólem z ciężkiej, odnowionej teraz rany w piersiach.

— Nie smuć się Maryjo! — zawołał, jesteście ocaleni...

— Jakim sposobem?...

— Ogół, co tyle robi dla głupich zwierząt, czegoż nie uczyni dla nas? Redakcyjna, co takie wzruszające odezwy drukuje, nie odepchnie cie

chyba. Jutro weźmiesz świadectwo lekarza, dzieci i pójdziesz do tej redakcji... bo mówię ci: ufaj! jesteście ocaleni. Patrz, ów doktor Y... do mnie przyjsz nie chciał... ale to zacna dusza...

Upadł z wysiłkiem na łożo...

### III.

Następnego dnia, rano, pani X... udała się do biur owego pisemka.

Redaktor, spotkawszy się z nią w prog, nieśmiało odmówił przyjęcia.

— Racz pani szybko wyłuszczyć o co chodzi, bowiem, dla nawału zajęć, tracę głowę...

Dzieci, zaleknione, czepiały się sukni matczynnej i milczały.

Ona, jednym tchem, opisała straszne swe położenie, groźną niemoc męża... głód, zapowiedź wyrzucenia z poddasza na bruk uliczny...

— I cóż ja na to poradzę wam? — szepnął redaktor, zachnąwszy się niecierpliwie.

— Mąż mówił...

— Bądźcie pewni, przerwał jej, że nieodmówilibyśmy pomocy; nie czytacie jednak mojego pisma, które czyta każdy przecie. Czyż niewiecie nic o groźnej katastrofie w zwierzyńcu? Oto setki telegramów z prowincji, które przejrzeć trzeba; oto stopy depeesz, które w świat wysyłamy, przytem, jesteście zasypani ofiarami, niektóre listy wzruszają, rozrzewniają prosto... jakie to dzielne pokolenie z tych dzieci wyrośnie... cześć matkom co je zrodziły! Posłuchaj pani np.

„Czcigodny panie Ledaktoże!”

„Mazaniem mojem było dostać palę kucików z zapięciem i od loku zbiegam już do kłupki. Ale, jak pan Ledaktol napisał o nasim zwierzyńcu, mama i tatuś splakali się, a ja płosilem

i dostałem pozwolenie posłania panu moich ościędności na kuciki”.

Zalążając lubli sto siedm, pisę się sługą pana Ledaktola.

Ninniek hlabia Dwiec.

— Cóż pani na to — spytał tryumfująco redaktor.

Kobieta płakała cicho.

— Pojmuje pani tedy, żeś przyszła nie wprore... racz wybaczyć... może za miesiąc...

Uklonił się i zostawił ją samą w saloniku.

Gdy wróciła na poddasze, chory z jej oczu wyczytał prawdę całą.

Sięgnął w zanadrze i dobył małego złotego medalionika z wizerunkiem Boga Rodzicy.

— Maniu — szepnął złamany, to wszystko, co nam pozostało. Trzy wieki ten skarb jest w naszej rodzinie, zawsze na piersiach najstarszego z rodu... chowałem ten klejnot dla naszego syna... przetrwał burze, zniósł huragany. Raz, głodny byłem, na obcej ziemi i cześć moja wymagała pieniężnej ofiary; omal nieumarłem z wycieńczenia, cześć poszarpani przewrotni, ale mi na myśl nie przyszło rozstawać się z talizmanem, który mi matka zawiesiła ongi na piersiach.

Zaczerpnął powietrza w rżące płuca i szepnął dalej:

— Weź medalion, sprzedaj i... kup dzieciom chleba.

### IV.

Nakarmieni, posnęli twardym snem. Piersi matczynej przybyło mleka, Benjaminek oddychał lekko, nieporuszał się w kołysce, ona, złamana, zapadła w jakieś letargiczne odurzenie.



## Mieszczanstwo i rzemieślnicy w poezji ludowej.

(Dalszy ciąg).

O niepoczciwości wędrownych rzemieślników świadczy rozpowszechniona po całym kraju pieśń następującej treści <sup>1)</sup>:

Do Krakowa przywędrowali rzemieślnicy i zobaczyli „piękną damę”, zapewne mieszczkę, która po grzecznym przywitaniu zaprasza jednego do siebie: „zapoczekka niziusko, otwórz sobie lekuško”, daje mu nawet dalsze rady, jak się ma zachowywać... Obudziła ich dopiero jaskółeczka rannem świegotaniem. Krawczyk śpieszy w drogę, a piękna dama upomina się o podarunek za utratę wianka... On wydobyla więc z kieszeni sześć złotych—za mało; daje jej sześć talarów, a gdy się jeszcze targuje, kładzie na stół czerwony dukat i ucieka z miasta.

Teraz dopiero żali się dama: „użareś mnie jako pies, teraz idziesz z miasta precz”, lecz on, zacisnąwszy czapkę na głowę, powiada, że nie chce nic wiedzieć o niej, a nakoniec lży ją ostatnimi słowy.

I powędrował krawczyk zalecać się do Lublina, zajechał potem do Warszawy, pijąc i hulając, a „jak przyszło na zimę”, idzie do majstra i prosi się, aby go przyjął, zaręczając, że będzie mu w robocie dogadzał i nie odwiedzał karczmy, nawet izbę zamiatał. Lecz jak przyszło znów lato, mój krawczyk pożegnał bardzo niegrzecznie majstra z majstrową i dalej „na wander”.

Czeladź rzemieślnicza pojmuje miłość z bardzo niskiego punktu widzenia, a choć w tym względzie i parobczak wiejski nie jest lepszym, to przecież pierwszy u rzemieślnika zawsze interes nad uczuciem.

„Dzisiaj czeladź pije, jutro precz wędruje, Niejedna paniątka ręce załamuje”!

<sup>1)</sup> Kolberg: „Lud” (Kujawy), tom IV, str. 38, nr. 177; „Lud” (krakowski) VI, str. 201 i n., nr. 383.—5; „Lud” (poznański), tom XII, str. 169, nr. 318—323. J. Lipiński: „Pieśni ludu Wielkopolskiego”, str. 108. Kolberg: „Lud” (kielecki), tom XVIII, str. 161, nr. 281. Żegota Pauli: „Pieśni ludu polskiego w Galicji” (Pieśni rzemieślnicze w czasie wędrowki), str. 162—3.

Na stoliczku, przy łożu, leżało wieczorne wydanie tego samego pisemka.

Chory sięgnął po nie i spojrzął na ustęp o... katastrofie.

„Godzina 12-ta. Położenie groźne, jedna tylko hyjena zdaje się że przetrzyma chorobę. Słoń, ulubieniec publiczności, kiwa trąbą rozpacznie, położył się o dziesiątej minut siedem i, choć mu butelkę wioślarki podano, niepowąchał nawet.

Lekarze tracą głowę, twierdzą, że u zwierząt roślinożernych niemoc powstała z wody cuchnącej. Złożono wielkie koncylium ale między siedmioma głosami było dziewięć zdań... tak u nas zawsze, niestety!

NB. Raut w naszej redakcyi odbędzie się jutro wieczorem. Bilety do nabycia w administracyi pisma. W ostatniej chwili otrzymaliśmy oferty: znanego artysty dramatycznego i znakomitego deklamatora, pana X... wygłosi piękny wiersz poety Kwik-Ota p. t. „Miłujmy zwierzęta” — i znanej a znakomitej artystki i deklamatorki panny Y... która wypowie lubym swym głosikiem nowy, humorystyczny utwór poety Serkowskiego p. t. „Cielece porywy”.

Następowała lista ofiarodawców.

Chory spojrzął na zegar: wskazywał zaledwie ósmą godzinę.

Podniósł się z wysiłkiem, oczy dziwnym jakimś świeciły blaskiem, wypieki na policzkach wskazywały gorączkę, nerwowe drganie członków—wysokie podrażnienie.

Odział się, niebaczając że odzieży część była na lewą stronę, wciągnął na barki burkę starą i ostrożnie, wsparty na lasce, opuścił mieszkanie, spuszczać zatrząsk u drzwi...

Na dole, przesunął się jak widmo około jamy podschodowej, zamieszkiwanej przez rodzinę

Tymczasem czeladnik „chce mieć serce wolne”, aby go użyć do swych celów, szuka więc przede wszystkim lepszego majstra i wygodniejszej majstrowej. Wyszukał wreszcie.

U starego majstra  
I majstrowej młodej  
Jest tam dla czeladzi  
Wszelakij wygody.  
Majstrowa wypierze,  
Majstrowa ubierze,  
Majstrowa buzi da,  
Bo się czeladź przyda <sup>1)</sup>.

W okolicy Wielenia dodają:

Majstrowa pościele,  
Majstrowa nałoży,  
Majstrowa się sama  
Dla chłopca położy...

Zakochany czeladnik rozmyśla gruntownie czy ma się ożenić, lamentuje więc, ale przytem rozważa:

Ach, mój Boże, cóż mam cynić,  
Cy wędrować, cy się zenić?  
Wędrowałbym, nóżki bołą,  
Ożenis się, cierp niedołą.

Wreszcie przeważa zle strony małżeństwa i ciężar rodziny, iż rzemieślnik widzi się już w myśli otoczony gronem głodnych dzieci:

Jedno woła: tatu, tatu!  
Drugie woła: daj mi papu!  
Trzecie woła: daj mi chleba!  
A mnie żony nie potrzeba! <sup>2)</sup>.

Stek wszystkich niecnot i śmieszności spycha pieśń ludowa, zwłaszcza krakowska, na profesyję szewcką. Oto parę bardziej znamiennych:

Wędrowali sewcy az na Nową Górę (koło [Olkusza]),  
Nocowali u garbarza, ukradli mu skórę.  
Obwiesili sewca w sieni przede drzwiami,  
A sewceta niebożeta kłuły go sydlami.

A u sewca tyle bydła (mienia),  
Dwa kopyta i trzy sydła,  
A sewce, mój sewce,  
Kopyto cię lechce,  
Pana Boga nie znas,  
Kopytem się zegnas.

<sup>1)</sup> Kolberg: „Lud” (poznański), XII, str. 171, nr. 324 i str. 172, nr. 325.

<sup>2)</sup> Żegota Pauli: „Pieśni ludu polskiego w Galicji”, str. 186. J. Konopka: „Pieśni krakowskie”, str. 145. Wójcicki: „Pieśni ludu”, tom II, str. 151.

stróża, wyszedł na ulicę i, skinąwszy na drożkę, polecił się wieźć do zwierzyńca.

Odźwierny, widząc wysiadającego, sądził że to jeden z członków protektorów lub znakomitość jaka lekarska, przepuścił go tedy.

Skierował się ku oświeconemu budynkowi.

Drżał teraz na całym cieple, oczy jak w obłądnie były skierowane na jakiś przedmiot niewidzialny, nieruchome, jak gdyby szklane.

Wszedł do sali, w której szeptało, chodzono na palcach, machano rękami...

Lekarze, z zakasaniem rękawami, w białych fartuchach, panie, pełniące chwilowo obowiązki doglądaczek, przyrządzały pokarmy: całe kawały pierwszej krzyżowej i zrazówki; dla słonia pącz na winie i biszkopty, dla małych kosztowne owoce, orzechy amerykańskie, pralinki i Loursowskie karmelki.

Naczelnym lekarz, w towarzystwie weterynarza i swoich asystentów przystąpił do stojącego w progu nędzarza.

— Czego pan sobie życzy?—czy może przynosisz ofiarę?...

— Przyszedłem prosić o moją porcyję i o porcyję dla mojej samicy, oraz dla drobiazgu...

— Co pan plecie?—kim jesteś?

— Ja? ha, ha, ha!—zaśmiał się nędzarz? Tacy uczeni i nie poznajecie? Jestem tygrysem, samecm, a tam w klatce na poddaszu, śród starego miasta, kona zgłodu moja towarzyszka z czworgiem kociać... jedno karmi jeszcze...

Oczy krwią mu nabiegały, szczykał zębami jak w febrze, chwiał się...

Uczony lekarz dotknął pulsu biedaka.

— Zwaryjował albo, co, prawdopodobniejsze, upił się...

— Mięsa dla swojej towarzyszki, dla moich kociać mleka... jestem tygrysem przecie... Gdy

Kogo biją? Sewca biją.  
Niech ta biją tę bestyją.  
W niedzielę się sewcy bili,  
W poniedziałek w kozie byli,  
Ja tam zajrzał raniusienko,  
Az tam sewców pełniusienko i t. p.  
Ozenił się równy z równą,  
Ta szwiecki syn z szewcówną,—  
Buty łałał, żonę płałał,  
W dzień pocięglem, wieczór dratwą <sup>1)</sup>.

W przytoczonych krakowiakach wytykają mu wady takie, jak chęć do bójki, skłonność do kradzieży i t. p., w innych przypinają mu rozmyślnie jakąś łatkę, aby go ośmieszyć, opowiadają więc, że „pięć tysięcy sewców” siadło na kobyłę siwą i dalej wpław przez rzekę; kobyła się... potknęła, szewcy pospadali, więc dalej do cechmistrza: „Kobyła, powiadają, utopiła się, tylko ogon płynie”. „A dla Boga, sewcy, odpowiada cechmistrz, kobyłę ratujcie, dźwignijcie za ogon, przecie pożalujcie!” <sup>2)</sup>. Satyra nieszczerólna, ale melodyja <sup>3)</sup> dodaje jej większej wyrazistości i zacięcia.

W ziemi dobrzyńskiej wyszydza lud butę córek rzemieślników temi słowami, skierowanymi niby do parobczaków:

- 1) Czegóż ty mnie gałganie, łajdaku,  
Pijaku, kostero, smierdziuchu,  
Za fartuszek chwytasz?
- 2) Czemu się ty tatula, mamuli,  
Stryjenki, stryjaszka, wujenki, wujaszka,  
O to nie spytasz?
- 3) A nie wiesz ty gałganie, łajdaku,  
Pijaku, kostero, smierdziuchu,  
Jakiego ja domu?
- 4) Jestem sobie szewcówną, krawcówną,  
Rymarzówną, stolarzówną,  
Sławetnego rodu.
- 5) A nie wiesz ty gałganie, łajdaku,  
Pijaku, kostero, smierdziuchu,  
Jaki ja posag mam?
- 6) Kopę raków, róg z tabaką,  
Baran dojny, gęś jałowa,

<sup>1)</sup> Ks. Siarkowski: „Lud kielecki” w „Zbiorze wiadomości do antropologii”, tom IV, nr. 327.

<sup>2)</sup> J. Konopka: „Pieśni ludu krakowskiego”, str. 160.

<sup>3)</sup> O. Kolberg: „Pieśni ludu polskiego”, 1857, melodyja nr. 38 b. i 38 m.; tekst u Kolberga: „Ludzie” (krakowski), tom VI, str. 201—2, nr. 383, pod ostatni numer ten zaciągnięto niewłaściwie kilka piosenek rozmaitych i zrobiono z nich całość.

byłem człowiekiem, ludzie nie mieli nademną litości, odmawiali pracy, aby mózg upadłać nas jałmużną, teraz, jestem bydłem... mam prawo do mięsa z moją samicą, kociecia do mleka... bośmy głodni...

— Oszałał! oszałał! co to za jeden!—szeptało usuwając się...

— Co za jeden? — bełkotał jeszcze: tygrys, chory, bo otruty i... głodny... Niewierzycie? to słuchajcie.

Zawył załośnię, pełną, rozkołatąną piersią... Grube krople potu wychodziły na czoło i bólem skrzywione oblicze.

Między damami była jedna, cała obwieszona świecidełkami, chrzęszcząca atlasem odzieży, z ogromnym, czerwonym nosem.

— Ja znam go—zawołała, to człowiek lichy, nierzetelny, a przytem: pijak nałogowy!

Nędzarz oprzytomniał nagle, wyprostował się, zniewaga obudziła w nim ostatnią myśl ludzką. Chciał coś powiedzieć, ale potoki krwi buchające z ust nieprzepuściły głosu, po chwili dopiero zdołał wyszeptać w dreszczach kolanania:

„Ah, moje nieszczęśliwe dzieci!”

\* \* \*

Trzeciego dnia zmarł kłown cyrkowy; dzielnie bawił publiczność swemi błazeństwami, należało go uczcić tłumnym pogrzebem...

O katastrofie w zwierzyńcu zupełnie zapomniano.



Garnek maki, dzban maślanki,

Bogatego ja domu <sup>1)</sup>.

W każdej niemal okolicy znajduje się jakaś miejscowość, która jest celem pośmiewiska sąsiednich mieszkańców. Takim celem dowcipów jest w Krakowskim Pacanów, na Litwie Smorgoń, w powiecie zaś ostrzeszowskim (w Poznaniańskim) miasteczko Mikstat <sup>2)</sup>. Opowiadają sobie żartobliwie wieśniacy, że ratusz w Mikstacie był na kółkach, tak, że go można było przewozić z miejsca na miejsce. Na tym ratuszu był zegar, ale nie wskazywał godzin; aby temu jakkolwiek zaradzić, sam burmistrz mikstacki popychał codziennie wskazówkę na dwunastą godzinę i obwieszczał dobitnym głosem, że już południe; uważano przytem, czy było wypędzono w pole, i do tego się stosowano. Ztąd weszło w przysłowie: Zkąd dała? Z Mikstala.

Po wygnaniu bydła, bo zegara niema <sup>3)</sup>.

Podobnie miasteczko Pacanów dało powód do licznych z siebie urągawisk. Niedowarzonego, niezgrabnego i zarozumiałego młodzieńca nazywano uczniem Pacanowskiej akademii. Łiche zapewne musiały tu być szkoły, lecz podobno doskonali rzemieślnicy, kiedy kożę robiącą w ogrodzie szkodę bez skaleczenia jej nóg okół kowal, zkąd powstało przysłowie, że „w Pacanowie i kozy kują”. (Kolberg: „Lud kielecki”, XVIII, str. 12).

Szydząc z mieszczan i rzemieślników ma chłop nasz, przyrośły do roli, tę świadomość, że na nim, jak na kamieniu węgielnym, spoczywa cały gmach społeczeństwa, a więc że bez niego nie wyżyłyby i rzemieślnicy.

Oj żeby nie kowale <sup>4)</sup>, nie chłopcy, nie rolnicy, Oj toby kata zjedli da wszyscy rzemieślnicy! <sup>5)</sup>.

Na stosunek ludu do mieszczan rzuca jasne światło „dumka”, czyli „balada gminna”, śpiewana w różnych stronach Polski, o krwawej pomście braci na rzemieślnikach, uwodzących ich siostrę. Dramatyczność dyalogu, wartkiego jak potok górski, i żywość muzyki dodaje pieśni tej, nadzwyczaj zresztą prostej, prawdziwie tragicznej zgrozy.

1) A w Warszawie w Kamienicy,

Pili winko rzemieślnicy <sup>6)</sup>.

2) Pili, pili, nie płacili,

Grzeczną damę namówili.

3) Jak się bracia dowiedzieli,

I gonić ją polecili.

4) Dogonili ją w Rybowie,

Ona siedzi w białogłowie.

5) „A witajże, siostrze nasza,

Gdzieś podziła szwagra Jasia?”

6) „Siedzi on tam za stołami,

Pije winko tam z panami”.

7) „A witajże, szwagrze młody,

Napijem się krwi jak wody”.

8) „Nie w takiej ja wojnie bywał,

A jak wody krwi nie pijał”.

9) I wyciął go jeden w nogi:

„Poznaj szwagrze, cudze progi”.

10) I wyciął go drugi w szyję:

„Poznaj szwagrze, kto cię bije”.

11) „A jak będziesz syna miała,

To mu będziesz tak śpiewała:

12) Lulaj, lulaj miły synku,

Zabili ci ojca w rynku.

13) Miałeś ojca mieszczanina

A wujaszka... poganina <sup>7)</sup>”.

Oddzielną kategorię tworzy mieszczaństwo biłgorajskie, t. j. mieszkańcy Biłgoraja (w lu-

<sup>1)</sup> A. Petrów: „Lud ziemi dobrzyńskiej”, „Fraszki” nr. 20, „Zbiór wiadomości do antropologii krajowej”, tom II, str. 123—4. W podobnym rodzaju Kolberg: „Lud” (Kujawy), IV, nr. 151, str. 26.

<sup>2)</sup> Tworzymir w „Bibliotece Warszawskiej” 1864, I, 263, wywodzi nazwisko miasteczka od „mikstalanik”, co podług Lindego znaczy tragarz, mieszkańcy bowiem Mikstala trudnili się przenoszeniem towarów.

<sup>3)</sup> Kolberg: „Lud” (poznaniański), XV, str. 167. Ma to oznaczać nieład, zamieszanie, niepewność.

<sup>4)</sup> Kowalem we wsi bywa często człowiek z ludu.

<sup>5)</sup> Kolberg: „Lud” (lubelski), tom XVII, str. 16, tudzież „Lud” (Kujawy) IV, str. 178.

<sup>6)</sup> Tu następuje muzyka: „luli da, luli da, hopsasa! luli da, luli da, niewola”, stale powtarzająca się za każdym dwuwierszem.

<sup>7)</sup> Kolberg: „Pieśni ludu polskiego”, Warszawa, 1857, str. 241 i n., tegoż „Lud” (Kujawy) IV, 49. Waryjant z Poznaniańskiego. Kolberg: „Lud” XII, str. 214—15, nr. 416.

belskiem), trudniący się oddawna wyplataniem i sprzedażą sit gospodarskich. Dobrobyt sitarzy wpłynął widocznie na wygodę ich mieszkań, znacznie większych od wiejskich, a przytem schludniejszych i ozdobniejszych, wpłynął na ich ubiór bogaty i malowniczy, odskakujący od stroju ludowego, wpłynął wreszcie na ich odrębny sposób życia, dosyć swobodny zresztą, łatwy i uprzejmy, a nawet u mężczyzn kupiecko ugrzeczniomy. Dziś handel ich i przemysł upada, albo przechodzi w ręce żydowskie. Sitarzy młodsze oddają się nierządowi, mężowie ich bowiem chodzą cały rok za zarobkiem,—starsze zaś pijaństwu. Po za tymi sitarzami jest okolica lubelska bardzo uboga w rzemieślników. Miasta pod tym względem niewiele różnią się od wsi, gdzie na kilka dużych i ludnych wsi znajduje się zaledwie jeden ładajaki kowal, rzadko gdzie podobny kołodziej, bednarz lub szewc. Włościanie zatem udawać się muszą po te i tym podobne potrzeby do miasteczek na częste jarmarki i targi, gdzie znajdują łatwą sposobność trwonienia na pijaństwie czasu i grosza wielkim trudem zdobytego, i gdzie ich wyzyskuje pod każdym względem żyd i mieszczanin <sup>1)</sup>. Czyż można się tedy dziwić, jeżeli chłop żywi w sercu do tej klasy ludności żal i nienawiść.

Kmieć lubelski, acz w roli pracujący, umie także stać się przemysłowcem i nie brakuje mu sprytu do różnych przedsięwzięć, woli jednakże, aby go gromada nazwała dobrym gospodarzem, aniżeli dobrym handlarzem, bo z ostatnim nazwiskiem łączy zazwyczaj przydomek krętacza i oszukańca <sup>2)</sup>. Handlarzy koni najmocniej nienawidzi, a to dlatego, że ci najłatwiej bałamuca i oszukują, zarówno sprzedającego, jak i nabywce. Dowiedziawszy się o ich postępkach, przymawiają im, że „ci szachraje tylko ludzką krzywdą żyją”. Kowal, kołodziej, cieśla, że więcej potrzebni i jako „ciężko pracujący”, są w większym od innych rzemieślników poszanowaniu. Ze szewca chłop lubi sobie zakpić, rzemiosło jego lekceważąc i kupując buty zwykłe gotowe na jarmarku, „bo je sobie tam wybrać można jakie chce”. Krawiec choć potrzebny, ale mniej szanowany. Pochodzi to ztąd, że i ten rzemieślnik oszukuje wieśniaka. Powiadają, że „choć mu patrzysz w ręce, to on to tu, to tu przykłada a nareszcie tak omami, że kończy porwie kawałek z sukna mu powierzonego”.

W Kujawach uchodzi garbarstwo za niskie rzemiosło, a rodzice straszą niem swoje córki na wydaniu:

„Moja dziewczyno—śpiewają podczas we-

[sela—naucz się robić,

Boć cię nie weźmie żaden królewicz,

Ino cię weźmie garbarczyk młody,

Będiesz ciągnęła skóry do wody,

Skóry do wody, skóry od wody,

Będiesz płakała swojej urody” <sup>3)</sup>.

Z powodu niedotrzymywania terminu roboty powstała następująca piosenka w Sandomierskiem, wymierzona przeciw płóciennikom i ich wykrętom.

1) Oj weźże torbę na chleb, a drugi na kasę,  
Da i proście do tego o jaką okrasę,—  
A obiecujże płótno na przyszłą niedzielę,  
Da jak przyjdą po płótno: „gdzie ja się po-

[dzieje?”

2) Oj wlaź czeladnik za piec, da majster pod

[ławe,

Oj inoci majstrówda udaje tę sprawę.

Oj niema majstra, niema, niema majstra

[w domu,

Da zrobił wałę płótna, ale nie wie komu <sup>4)</sup>.

W Krakowskiem śpiewają następująca szederza pieśń o rzemieślnikach, którym śmierć mierzają zwykle szyki:

1) Śmierć mularzowi narobiła bólu,  
Wzięła go za łeb, ściągnęła go z muru,  
Jesce mu wapnem ocy zalepiła,

Tak się pastwiła!

2) I z panem cieślą narobiła strachu,

Wzięła go za łeb, zrucila go z dachu,

Jesce go gontem w kryże uderzyła,

3) Kolberg: „Lud” XIV.

4) Kolberg: „Lud” XIV.

5) Kolberg: „Lud z Kujaw”, III, str. 289, nr. 55.

6) Kolberg: „Lud sandomierski”, I, str. 225, nr.

302.

Tak się pastwiła!

3) I z panem krawcem obok se zasiędzie,  
Wszystkie kawałeczki prezentować będzie,  
Co od kapotek i sukien zostało,  
Zydkom sprzedano!

4) I pana sewca za drzwi wyprowadzi,  
Oстрым kębulem za ucho zawadzi,  
Wyprowadzi go na drogę i rznie nim o zie-  
[mie,

Znaj szewcze plemie!” <sup>1)</sup>.

Młynarza pożyczającego pytła ofuknie krakowianka temi słowami: „Cóżes ty za młynarz, co ty pytła nie masz, zębami zubrujesz, a gardłem obsie!” <sup>2)</sup>.

Charakterystyczną piosnkę śpiewaną w Modlnicy—podaje Kolberg <sup>3)</sup>; podnosi ona niesumienność płócienników:

1) Nosili do Knapa przędze brzemionami:  
„O mój panie Knapie zróbcięż przed świad-  
[kami.

2) Dwa łokcie kiełbasy i miarka ziemniaków,—

O reszcie nie mówię, co będzie w tłóroku”.

3) A jak ci tę przędę tam za piec wrzucili,

Myszy, szczury zjadły,—oni zobaczyli.

4) A jak ci tę przędę na fulfy nawijał,

„Mój mnie mocny Boże, jeschcem takiej nie  
[miał!

5) Siedem łokci wrobku i szarzyiny mało,

Mój mnie mocny Boże, kaj się to podziła?”

6) Jak ci posło na blich, zaczęto polewać—

„Mój mnie mocny Boże, trawkę przez to widać.

7) Jak się wybieliło, usyło ciąsnockę.

„Mój mnie mocny Boże, widać przez nią nóżkę!”

(D. n.).

## Dobre i złe sugestyje.

Bankructwo przeżytych hasel.—Brzaski odrodzenia.—  
Reakcyja na korzyść idealizmu.

Wiek nasz stanowczo się przeżył, — przed zgonem swym żyć już przestaje. W szalonym przelocie ku zapewnieniu sobie *zewnątrznych* dobrodziejstw bytu—siły zużył przed czasem, szczęścia nie zapewniwszy nikomu.

Nowe hasła, nowe myśli ludzkiej przebłytski, brzaski odrodzenia zapowiadające światu, nowe nam doby są już świtaniem.

Z pośród walących się ruin negacyi twórczy duch ludzki budzi się do czynu, by na gruzach spróchniałych fanatyzmów i wierzeń nowe świątynie przyszłości budować.

Z syzyfowym istic wysiłkiem wznoszone olbrzymie gmachy wiedzy nowożytniej, pośród chaosu zrodzonych przez się sprzeczności, w podstawach swoich się chwieją.

W dziedzinie myśli współczesnej wogóle wielka odbywa się praca, odrodzenie ludzkości mająca na celu, a ostatnie pokolenie „schyłkowców”, całym szeregiem patologicznych procesów znękane, niby instynktem wiedzione zachowawczym, rzuca się w objęcia potężnej reakcyi.

Schyłkiem era nasza w nowy okres tworzenia wstępuje, — to też idealizm w najnowszej swej szacie, sporą przymieszką mistycyzmu zaprawny, odnosić już poczyna tryumfy zwycięzkie nad bankrutującym krytycyzmem chwili. Znak to znamieny, okresowi twórczości wybitnej właściwy.

„Zewnątrzne” reformy, ulepszenia, wynalazki — cały ten jednostronny arsenał wiedzy współczesnej, cały ten niepowzedni dorobek wieku—w bilansie swym ostatecznym rezultatów zamierzonych nie wykazał, — przeciwnie, zagroził widmem bankructwa.

Miasto spodziewanego szczęścia, zrodził niezadowolenie, pesymizm rozkładowy, czezość życia, „tęsknotę za ideałem”, wreszcie—„wielką niewrozę” chwili.

Ani trwoga walki o byt w swem etycznym zastosowaniu, ani gorączka materyjalistycznej pogoni „bezideałowych” dzieci wieku—do podwyższenia sumy szczęścia ogólnego przyczynić się oczywiście nie mogły.

Rzecz prosta, iż postępowanie powyższej drodze—postępem wstecznym w istocie swojej był

<sup>1)</sup> J. Konopka: „Pieśni ludu krakowskiego”, str. 146.

<sup>2)</sup> Kolberg: „Lud krakowski”, VI, str. 199, nr. 379.

<sup>3)</sup> Kolberg: „Lud”, VI, str. 201, nr. 381.



musiał, mimo pozorów, na oko ludzających. Postępem istotnym było i pozostało to jedynie, co było wynikiem harmonijnych i zdrowych ludzkiego ducha objawów.

Zarówno materjalizm, jak pozytywizm i naturalizm w negatywnej istocie swojej podstawowych czynników istotnego postępu nie zawierały w sobie. Prędzej czy później kierunki te wywołać musiały reakcję, prędzej czy później myśl ludzka szerszych zapragnąć musiała horyzontów.

Analityczna metoda badań w tysiączne odłamy rozczłonkowanej nauki, wikłającej się z dniem każdym w sprzecznościach, zadawalnijającej syntezy filozoficznej wytworzyć nie mogła, zrodziła natomiast bujnie krzewiący się pesymizm wieku.

Materjalistyczny sceptycyzm dni naszych, w swem zapoznaniu duchowego pierwiastku w naturze, nie do lepszych też doszedł rezultatów. Droga naturalnej reakcji przetrada się on właśnie w tak trafnie przez francuzów nazwaną—*„nostalgie du divin”*...

pozytywizm—za jedyne niemal kryterjum poznania przyjmujący zmysły, styka się oto z twierdzeniem reakcji: *„l'invisible est réel”*... a Kartezjuszowski pogląd na materję, zarówno jak mistyczne idee Platona, walczą w tej chwili o lepsze z materjalizmem Vogtów i Büchnerów.

W ślady Klaudyusza Bernarda, dowodzącego, że *„w dziedzinie fizjologii materjalizm nie prowadzi do niczego i nie może tłumaczyć”* dzisiejsi nowych hipotez naukowych entuzjasta ogłaszają tryumfalnie światu, że *„w dziedzinie biologii i psychologii trzeba będzie przebudowywać wszystko oprócz na nowych naukowych podstawach”* (dr. P. Gibier).

Fizjologija dotychczasowa mózgu, w której, zdaniem niestrudzonego jej badacza, profesora Luys'a, niczem nieobjaśnione dotąd luki stanowią bogate, a odłogiem dziś niemal leżące pole dla badań przyszłych, jakoteż mnożące się z dniem każdym zagadki w dziedzinie niezbadanych sił psychicznych człowieka—coraz wymowniej świadczą na korzyść tezy Klaudyusza Bernarda.

Myśl ludzka nowych szuka horyzontów, za nowem się ogląda światłem, — wraz z reformą filozoficznych i socyalnych systematów szuka też ona dziś form nowych i nowych ideałów dla swej twórczości artystycznej.

Naturalizm w literaturze i sztuce przeżywa się też stanowczo.

Kierunek ów będący przedewszystkiem *olbrzymią a zgnębłą sugestją dla współczesnych światła obyczajów*, jutra już nie ma przed sobą. Epoce, która go wydała, wypowiedział już wszystko, co mógł być wypowiedzieć, — a wobec nowych prądów i haseł do archiwów dziejowych już wchodzi.

Tęsknota ducha za ideałem ratuje istotę ludzką z kałuży naturalizmu. I oto odwet naturalny, fermentujący w łonie społecznej masy, wychodzi na jaw w gorącym proteście byłych uczniów wielkiego mistrza szkoły, i oto coraz szerszymi kręgi zakreśla reakcję swą w literaturze zachodu idealizm.

Dla znamienych ducha porywów szuka „modernizm” w licznych odcieniach swoich już to odpowiednich symbolów (szkoła symbolistów z poetą Moréasem na czele), już to w wybitnie idealistycznym kierunku płodów ducha dążność swą ku odrodzeniu zaznacza.

Chorobliwe zapędy naturalizmu w wyszukiwaniu genealogicznych „dokumentów” zwierzęcia w człowieku — owa nieustana propaganda zwierzęcości w człowieczej sferze, napotyka dziś na swej drodze wspaniałe hasło reakcji: *„humanisez ce qui est animal divinisez ce qui est humain”*!... O bardziej wymowne zestawienie trudno.

Miłość płciowa — wyidealizowana, wypięknona przez romantyzm, stworzona bodaj w swej formie idealnej przez ów do apoteozy ją podnoszący kierunek—czemżeż została w naturalizmie, w myśl pseudo-realistycznych wzorów życiowych?

I najjaskrawsze „dokumenty” ludzkie niczem są wobec tego, co z tem najpiękniejszym z uczuć człowieczych uczyniła nurzająca się w bestyjalizmie szkoła, nieobliczonych następstw sączonego tą drogą jadu nie biorąca w rachubę.

Modernizm zachodu w swem dążeniu reakcyjnym, do ostatecznej doprowadzonym konsekwencji, platoniczną jedynie miłość apotezować byłby skłonny. Pojawiają się już nawet próbki tego rodzaju tendencji w powieści dzisiejszej, jakkolwiek z uwagi na eklektyczny charakter nowych prądów, idea ta nie ma widoków powodzenia. J. Lermine w jednej ze swoich ostatnich powieści daje nam już ów typ kobiety, dla której miłości ziemskiej uroki nie istnieją zgoła. „Sita”—buddystka, odtworzenie bohaterki Ramajany, całe uczucie swoje w idei odrodzenia ludzkości skupia, szczęścia innego zgoła nie pragnąc.

Wybitna rola, jaką reakcja w swych reformatorskich dążnościach przeznaczona kobiecie jest arcy-charakterystycznym przyczynkiem do kobiecej sprawy.

W psychicznych właściwościach kobiety, wogóle, a w szczególności we właściwym naturze jej intuicyjnym pierwiastku, reakcja o charakterze idealistycznym, twórczym, widzi właśnie te podstawowe czynniki twórczości, na których się zasadniczo opiera.

„Miłość” ziemską w zastosowaniu do wymogów chwili jeszcze inaczej rozumie modernizm.

Kiedy naturalizm w uczuciu miłości dwojga istot ludzkich, pchanych ku sobie wzajemnie przepartą siłą, spostrzega przedewszystkiem przejawy tkwiącego w naturze ludzkiej pierwiastku „zwierzęcego”, który ku utrzymaniu gatunku służy—to reakcja—w sile twórczej, uczuciu miłości właściwej, pierwiastek „boski” ku utrzymaniu harmonii świata w piersi ludzkiej złożony odnajduje.

Kobieta—radzicielka wchodzi tedy na stanowisko więcej niż ludzkie — półboskie, niby owa mitologiczna kochanka i matka bogów. Macierzyństwo otacza ją aureolą boskości, wytwarza dla niej pewien kult czci nadziemskiej—kult, który był ongi podstawą idei prostytucji świętej.

Ze tego rodzaju apoteoza miłości na pożądaną reformę obyczajów współczesnych wpłynąć może zbawiennie, zdaje się to nie ulegać zaprzeczeniu. Idealizm ten obyczajowy wraz z nowym typem miłości dać może światu podwaliny, bez których gmach się żaden długo nie ostoł. Bo tylko na etycznej reformie społeczeństw nadzieje rzeczywistego odrodzenia fundować można skutecznie.

Spodziewać się również należy, iż w przeciwstawieniu do „zwierzęcych” naturalizmu, idealistyczny kierunek beletrystyki jutrzejszej da nam nareszcie tak bardzo pożądaną typy prawdziwych „ludzi”, typy nieobce zresztą naszej powieści dzisiejszej, dzięki paru zdrowym talentom rodzimym, z naturalizmem zachodu nie nie mającym wspólnego. Będą to więc ludzie idei, ludzie charakteru, zbrojni siłą moralną, a duchowym hartem, humanizmem uczuć przejęci i świadomi celu swych dążeń.

W przeciwstawieniu do dzisiejszych chwiejnych i słabych, a płacziwych typów literackich, burzami życia niby liście zwiędłe gnanych na bezdroża—będą to bohaterowie obowiązku i czynu, w ciężkich zapasach bytu sztandar ideału dzierżący wytrwale, zahartowani na życiowe ciosy, pociskom wszelkim pierś zbrojną nadstawiający śmiało, pod brzemieniem ciężkich niedoborów chwili nie upadający.

Postacie te ze względu na realizm, wiernie prawdę życiową odtwarzają mający, w skołatanej burzami tyłoma etycznej sferze naszej, będą zapewne czas pewien, przeważnie w imaginacji autorów żyjących, typem idealnym, jak idealnym typem w mózgach wyznawców naturalizmu jest ów typ literacki „człowieka-zwierzęcia”...

Będzie to również dla obyczajów ludzkich swojego rodzaju sugestya olbrzymia, tylko—o ileż zdrowsza, o ileż pożądaniejsza sugestya!...

Maryja Cz. Przewońska.

## Z sonetów bez tytułu

Ainsi, toujours poussés vers des nouveaux rivages, etc.  
Lamartine. Méditations.  
I tak ciągle ku nowym wybrzeżom [tani,  
Błądząc, wśród ciemnej nocy, śladem za- [pomnienia,  
Czyż nigdy nie będziemy mogli w lat [otchłani,  
Znaleźć dnia nawet wytchnienia?...

### III.

Nie szalem ogarnięci, nie złudzeniem chwili,  
Znając się w życiu ledwie pół godziny marne,  
Pójdziemy dłoń w dłoń, ale jak ci, co walczyli  
Lata, spólnie ołtarze wskrzeszając ofiarne.

Niestrowożeni chychotem bezcelnej gawiedzi,  
Żądnej chleba i igrzysk za cenę czei nawet,  
Jak ona z czołem, z piersią zbrojną w pancerz  
[z miedzi,

My za wzgardę miłością oddamy wet za wet.

I życie nam popłynie, jak ta fala cicha,  
Co z białych lilij pyłku w polocie nie strąca,  
A z jednego pić będziemy gorzycy kielicha,  
Mężni, wśród przeciwności i zawał tysięcy.  
W tym pancerzu, co kłamstwo i pychę odtrąca,  
Życie wśród burz popłynie nam jak fala cicha.

### V.

Pamiętaj! mówię tobie.

Chociaż na mogile

Niema bluszczów i chwasty dłoń posiała boga,  
Choć lat już upłynęło tyle i lat tyle,  
Choć z cyrkowych obręczy dziś do szczęścia droga,  
Ty pamiętaj, przez miłość i dla mnie i dla niej...  
Bądź jedna zasmucona, której szych nie nęci,  
A choć cierń dłoń zakrwawi i stopy porani,  
Pamiętaj! bo to enota w zbrodniach niepamięci.

Gdy ja umrę niedługo, jak ci, co przedemną  
Szli—proszę, zasadź bluszcze co nieschną wśród  
[słońca—

I nieznanemu przynieś nieśmiertelnik w dani  
A zapal znicz, gdy będzie znów, jak dzisiaj, ciemno—  
Abyśmy znów nie przeszli w życiu, niepoznani,  
I pamiętaj, pamiętaj wbrew światu... do końca!

### VI.

Idę ku tobie zadumany, senny,  
Choć nie wiem drogi, ani jak daleka—  
Choć dla mnie, dawno, zniknął już blask dzienny,  
Pociężala od znoju powieka...

Idę, bo ciągnie mię rój wspomnień stary,  
I szumy lasów co widziały wiele—  
Zielone pola i głębokie jary,  
Gdzie pełno modlitw i łez, jak w kościele.

Idę, choć nie wiem czy dłoń moja skruszy  
Bramy kamienne—żelazne wrzeciędzie—  
Idę, bo cierpię, kocham z całej duszy,—  
Choć tego głośno wyrzec nie ośmielę...

Wytrwaj!...

Wbrew światu i ludziom złej woli,

I zaślepionym i porwanym szalem—  
Wytrwaj, u szczytu szczęścia i w niedoli,  
Nawrót przykładem i wzrusz ideałem.

Niech twoje ślady ten męzki hart znaczy,  
Co wątych krzepi, tłumy jęk boleści;  
Wytrwaj, gdy wszyscy skonają w rozpacz,  
I wszyscy swoi przepadną bez wieści.

Za taką cenę, gorzkie lzy schną żywo,  
Rany zabliznia łaski anioł cichy—  
Tęcza przymierza barwi chmury czarno...

Wytrwaj!... dalekie tu, lecz pewne żniwo:  
Rozbite, pełne gorzycy kielichy,  
I kwiaty stroją ołtarze ofiarne...

### XI.

Ah, módl się, mówię tobie—bowiem w zawie- [rusze,

Gdy zabija niedola—modła życie znaczy,  
Krzepi serce i chwiejną uszlachetnia duszę,  
Daje blaski pokorze i dumę rozpacz.

Ty, módl się nawet wtedy, gdy nędzni bluźnierce  
Zwalą ołtarz—w gruz świętyń marmur się rozpa- [dnie.

I wtedy jeszcze, gdy ci sępy schwyca serce,  
Tajemniczą modlitwę zachowaj w niem na dnie.

### XII.

Nietrac nadziei...

Bez niej żyć nie można;

Gdy groty pancerz poszarpią na ćwierci,  
Gdy w przepaść popchną: jeden błąd, myśl zdrożna,  
Ona i wtedy ustrzeże od śmierci.



I za grób sięga.—Gdzie rozbite czasie,  
Z popiołów szczyptę—gdzie biela się kości,  
W wiosennem tchnieniu prawdy i miłości,  
Znajdą ją, jutro nędzni Eneasze.

Patrz, znów jak gwiazda powstaje świetlana,  
I znów nam siewy złotodajne wróży,  
I ciężkie znoje, złane potem czołá...  
Ale i łaskę, zmiłowanie pana:  
Bo wielkie słońce, po szalonej burzy,  
I ciche życie pod skrzydłem anioła.

## XVII.

Nie szalem ogarnięci, nie mrzonką bez celu,  
Znając się w życiu tyle, co orły w przelocie,  
Pójdziemy razem—lecz, jak dwoje z tych nie wielu,  
Co pojęli ofiarę krwawą na Golgocie.

Choć nam w oczy szyderstwem bluzgnie rzesza  
[harda—  
Zawiść z oczu naszych ciszę i radość wypłoszy—  
My, dzierżąc w rękach lutnię trojańskiego barda,  
W wspomnieniach poszukamy wczasu i rozkoszy.

Nie szalem ogarnięci, nie żądzą bez granic:  
Oświetlania czołami miejsc, gdzie władną ciemnie—  
Lecz ufni w wielkie jutro, co zbawienie wróży,  
Pójdziemy razem, śmiało, do świetlanych stanic,  
Pokorni w głuchej ciszy i mężni śród burzy.  
Więc po co lży mi wróżysz i mówisz: daremnie?

## GŁOSY.

Koniec emigracji. — Komisja reprezentacyjna. —  
Miłe stosunki.—Wspomnienie pośmiertne.

(p). Sady krytyki nie zawsze mogą być miarą popularności pisarza, zwłaszcza u nas, gdzie łatwiej znaleźć obszerne, bo z pism zagranicznych przerobione studia: o rozmaitych drugorzędnych obcych znakomitościach, aniżeli o autorach polskich, chociażby niepośledniego talentu. Przecie dopiero w ostatnich czasach Prus doczekał się—nie recenzji tej lub owej powieści — ale ogólnej charakterystyki jego działalności pisarskiej, i to charakterystyki dosyć pobieżnej. Wielu zaś innych utalentowanych pisarzy dotychczas jeszcze czeka.

W szeregu ich niepoślednie miejsce zajmuje Klemens Junosza (Szaniawski). Jest to autor w niektórych przynajmniej kołach czytelników wielce popularny. Junosza jest powieściopisarzem „rodzajowym”, wybrał on sobie pewien, dosyć ograniczony zakres stosunków, z którego rzadko kiedy wychodzi, ale w zakresie tym talent jego tworzy nieraz prawdziwe arcydzieła. Życie szlachty wiejskiej, chłopów, żydów i warstw drobnomieszczańskich stanowi tło jego powieści i drobnych obrazków. Stosunki, które opisuje, zna doskonale a przedstawia z humorem prawdziwie polskim, a raczej polsko-szlacheckim, żartobliwym i nieco rubasznym. Ale nie jest on wyłącznie tylko humorystą, owszem wykazuje nieraz subtelną wrażliwość a nawet pewną tkliwość uczucia.

Nie mam zresztą zamiaru kreślić tu sylwetki literackiej Junoszy, dodam więc tylko, że jest to w swoim zakresie pisarz wielkiego talentu, zbyt mało dotychczas przez krytykę ceniony, a więc może nie tak znany, jak na to zasługuje. Ocenę jego talentu ułatwić powinno zbiorowe wydanie wszystkich pism w 10 tomach. Wydanie to autor podjął własnym nakładem. Czytelnikom naszym polecamy gorąco dzieła Junoszy.

Poglądy społeczne tego pisarza w wielu punktach różnią się zapewne od naszych, ale Junosza rzadko bywa pisarzem tendencyjnym w ciasnym znaczeniu tego wyrazu. Zawsze zaś, nawet wtedy, kiedy zgodzić się z nim nie można, trudno nie czuć doń sympatii, trudno odmówić mu uznania i nie cenić jego dobroduszej szczerości i serdecznego stosunku do szarej masy ludzi małych, biednych, ciemnych.

Mieszkanie w psiej budzie. Znam mieszkanie, które sprawiło zapewne niemały kłopot komisji, badającej stan lokalów warszawskich. Przypuszczam, że delegowani, nie mogąc wejść do niego w komplecie dla braku miejsca, medytowali nad tem, czy podlega ono ich kompetencji, czy też weterynarza miejskiego; jednakże, widok czworga ludzi, poruszających się

wewnątrz, usprawiedliwił przybitą nad drzwiczkami tablicę z napisem *stróż* i komisja zapełniła wnet rubryki szematu danemi o ilości okien, pokoi, o stanie wentylacji sztucznej i t. d. Lokal taki istnieje w domu przy ul. Freta nr. 53 (róg Zakroczymskiej). Jest to budynek dwa łokcie szeroki do pięciu łokci długi, z niezmiernym dowcipem sklecony z *desek*, przyparty z jednej strony do ustępu, z drugiej do muranego parkanu w ten sposób, że mury parkanu i ustępu stanowią dwie jego ściany. Blachą obity daszek sięga do ramienia przechodniowi; małe, jak ćwiartki papieru, okienka przepuszczają światło, o ile takowe istnieje w wązkiem, staromiejskim podwórku. Pod drzwiami ciągnie się cuchnący rynsztok, wewnątrz zaś, pomimo istniejącego jakiegoś piecyka, mury i deski ociekają wodą. W lokalu tem mieszkają ludzie latem i zimą. Kultura nasza, wydziwiająca ryciny mieszkań ludzi pierwotnych, znosi tolerancyjnie mieszkania stróżów, bo wymyślił je mieszczański, swojski wyzysk, a zamieszkali tam ludzie są tak biedni, że nie mają o czem uciec do lasów brazylijskich. Pies podwórzowy wymaga większych wygód; najemnik wdzięcznym być musi za dach, pod którym ukryć się może jedynie nędza i rozpacz.

(p) W ostatnim numerze *Gazety rzemieślniczej* p. Z. „rzemieślnik”, jak się podpisuje, sprawdza rachunek, podany przez komisję reprezentacyjną. Wystawy środkowo-azjatyckiej w Moskwie. Wątpiliśmy od razu o wiarygodności tego rachunku, teraz zaś szczegółowe obliczenia, jakie p. Z. podaje potwierdzają całkowicie nasze zdanie. Szczegółowe zbadanie rachunku wykazuje takie naprzykład *curiosa*:

Jeden z wystawców za arszyn kwadratowy płaci 32 rs. 50 k., drugi—35 rs. 50 k., trzeci—38 rs. 50 k., czwarty wreszcie—41 rs. 50 kopiejek.

Na 9 wystawców, którzy zajęli po 2 arszyny miejsca, cena zmienia się 5 razy, począwszy od 39 aż do 76 rubli! Dalej przy 3 arszynach cena zmienia się 3 razy: od 65 — 95 rubli i t. d. „Przy takiej *jednostajnej* taryfie”, powiada p. Z. „2 arszyny taniej kosztowały od 1-go (porównaj poz. 92 i 8), 3 arszyny taniej od 2-ch (porównaj pozycję 18 i 19 z 16 i 17).”

Po szczegółowem sprawdzeniu rachunku p. Z. dowodnie wykazuje, że komisja nie tylko nie miała deficytu, ale ładne zyski. „Wszystkie koszty”, mówi autor, „razem wyniosą 8,855 rs. Różnica więc na stronę zysków komisji wyniesie 2,523 rs. 24 kop., już po doliczeniu wszystkich wydatków”. Do rachunku nie wchodzi jedynie honorarium agenta, ale to nie powinno przenosić kilkuset rubli.

Przed paru dniami komisja reprezentacyjna, wobec zarzutów, jakie ze wszech stron się na nią posypały, zwołała zebranie wystawców. Z tona wystawców, jak donosi *Kuryer warszawski*, padły na komisję „silne pociski, skończyło się jednak, zwyczajem warszawskim, na kompromisie: dotychczasowy skład komisji, z wyjątkiem p. Kossowskiego, który się usunął, utrzymano, dodano zaś tylko nowych członków pp. Małkowskiego, Wortmana i Leperta; z tych zaś dwaj ostatni oświadczyli, że z powodu licznych zajęć wiele czasu sprawom wystawy poświęcać nie mogą. Dlaczego więc przyjmowali mandat, jeżeli wykonywać go uczciwie nie mogą? To jedno pytanie, a drugie: dla czego wystawcy, słusznie oburzeni dotychczasowem postępowaniem członków komisji, którzy jeżeli w nadużyciach nie brali udziału, to tolerowali je i świadomie pokrywali—pozostawili na stanowisku reprezentantów tych samych ludzi albo niedoświadczonych, albo dla jawnych szwindłów zbyt pobłażliwych?

(x) Zmarły w d. 6 kwietnia r. b. dr. Henryk Łuczkiwicz, b. profesor uniwersytetu warszawskiego, posiadał oprócz wiedzy specjalnej obszerne wykształcenie ogólne i żywo interesował się rozmaitemi kwestyjami, po za zakres medycyny wychodzącymi. Nie uznawał on również tej zasady, która niepozwała lekarzom „profanować” godności zawodowej, i chętnie pisywał o swej specjalności w pismach popularnych.

Znakomitym uczonym nie był, ale w każdym razie wyżej stał od wielu tych, co odgrywają z powagą rolę nieomylnych augurów i uprzywilejowanych kapłanów Izydy. Ta wrażliwość na sprawy społeczne, ta chęć utrzymania związku między nauką i życiem stanowi niewątpliwą zasługę zmarłego.

Urodzony w 1826 r. w Galicyi odbywał studia lekarskie w Krakowie, Pradze i Wiedniu. W 1860 r. mianowany został profesorem patologii i terapii w ówczesnej akademii medycy-chirurgicznej w Warszawie, następnie wykładał w szkole głównej, a wreszcie w uniwersytecie—patologię ogólną, historję medycyny i encyklopedyję nauk lekarskich. Oprócz przekładów kilku dzieł lekarskich wydał obszerniejsze prace: *Farmakologija*, *O bladacze*, *o suchotach płucnych*, *O chorobach układu nerwowego* i t. d. W ostatnich latach życia pracował nad *Historyją medycyny*.

Specjalnych, drobnych rozpraw oraz artykułów popularnych wyliczyć niepodobna w krótkiej wzmiance,—tak wielką jest ich liczba.

## Z OBCEGO SWIATA.

Szkoły i zwołanie pruskiej konferencji szkolnej.

Przed kilku tygodniami mówiliśmy na tem miejscu o świeżo wydanem sprawozdaniu z posiedzeń pruskiej konferencji szkolnej. Zwróciliśmy jednak wówczas uwagę li tylko na krytykę obecnego systemu szkolnego ze stanowiska pedagogicznego. Dziś chcielibyśmy zapoznać czytelników z bardzo ciekawemi dokumentami, zamieszczonemi w owem sprawozdaniu. Wyjaśniają one przyczyny zwołania konferencji i dają pewne wskazówki co do kierunku przyszłych reform szkolnych.

Pierwszym dokumentem, jaki w sprawozdaniu spotykamy, jest reskrypt cesarza Wilhelma do ministerjum stanu z d. 1 maja r. 1889, kontrasygnowany przez księcia Bismarka. Przytaczamy jego początek w dosłownym przekładzie: „Od dłuższego już czasu zajmowała mnie myśl, że należałoby zużytkować szkołę dla przeciwdziałania szerzeniu się idej socjalistycznych i komunistycznych. W pierwszym rzędzie szkoła powinna przez pielęgnowanie bojaźni bożej i miłości ojczyzny położyć podstawy dla zdrowego poglądu na stosunki państwowe i społeczne. Jestem przekonany, że w czasie, gdy błędy i spaczenia socjalistyczne szerzą się ze zwiększoną gorliwością, szkoła dokładać musi starań, żeby upowszechnić wiadomości o tem, co jest prawdziwem, rzeczywistym i możliwym na świecie. Winna ona dążyć do wytworzenia w młodzieży przekonania, że nauka demokracji socjalnej jest nietylko sprzeczną z przykazaniami boskimi i moralnością chrześcijańską, ale zarazem w rzeczywistości niewykonalną i w wynikach swych wręcz zgubną zarówno dla jednostek, jak i dla ogółu. Winna ona bardziej niż dotąd uwzględniać w wykładach dzieje nowe i najnowsze, wykazać, że tylko władza państwowa zabezpieczyć może jednostce rodzinę, wolność i prawa, i uświadomić młodzieży, jak królowie pruscy usiłowali podnieść stanowisko robotników, począwszy od reform prawnych Fryderyka Wielkiego i zniesienia poddaństwa, aż do dnia dzisiejszego. Powinna ona dalej wykazać, jak stale i istotnie polepszały się w ciągu bieżącego wieku pod tą opieką monarszą zarobki i położenie klas pracujących”.

Opracowanie projektów zmian, jakie dla celów powyższych należy do szkół wprowadzić, powierza reskrypt cesarski gabinetowi, wskazując jednak raz jeszcze na naukę religii i historji ojczystej.

Dalsze dokumenty wykazują, że ministerjum pruskie zajęło się niezwłocznie powierzoną sobie sprawą. Zwrócono przedewszystkiem uwagę na szkoły niższe i seminaria nauczycielskie. Do tych ostatnich postanowiono wprowadzić przedewszystkiem wykład elementarnych zasad ekonomii politycznej, a to w celu, aby wychowawcy seminarijów mogli potem ochraniać swych uczniów od wpływu błędów socjalistycznych i wykazywać im, co jest prawdziwem, rzeczywistym i na świecie możli-



wem. Postanowiono ułożyć specjalny podręcznik do tej nauki, w którym winien się znajdować wykład zasad, od przestrzegania których zależy dobrobyt narodu, oraz szereg biografii, wykazujących starania monarchów pruskich dla polepszenia losu klas pracujących, oraz przekonywających, że monarchiczna forma rządu zabezpiecza najlepiej rodzinę, prawa i dobrobyt jednostek. Aby zaś ułatwić obecnym nauczycielom zapoznanie się z wymaganiami odtąd wiadomościami, postanowiono zapoznać okręgowe biblioteki nauczycielskie w odpowiednie książki. Co się tyczy szkół niższych, to oprócz rozszerzenia wykładu religii ze szczególnem uwzględnieniem jej strony etycznej, postanowiono rozszerzyć wykład historii ojczystej w scharakteryzowanym wyżej hohenzolernskim duchu. Kilkakrotnie powtarza się zastrzeżenie, że dzieje doprowadzone być winny koniecznie do chwili wstąpienia na tron Wilhelma II i że epoka najnowsza wykładaną być winna najobszerniej.

Zapowiadany wyżej podręcznik, jak się okazuje z dokumentów następnych, został już w części opracowany. W końcu roku zeszłego ukazać się miał zeszyt pierwszy „Dodatku do wypisów szkolnych”. Zeszyt ten zawiera szereg życiorysów władców prusko-brandenburskich od wielkiego elektora począwszy aż do obecnie panującego cesarza. Artykuły, wyjęte przeważnie z dzieł celniejszych historyków, przedstawiają krótki zarys rozwoju cywilizacji w państwie i zaznajamiają z działalnością monarchów pruskich dla podniesienia dobrobytu wszystkich poddanych, zwłaszcza zaś małuczkich. Sądy o osobach—powiada cytowany dokument—są pominięte, natomiast przytoczono wiele słów ich własnych z reskryptów, listów i przemówień. Zeszyt drugi zawiera ma zasady, od których zależy dobrobyt ludu, wykaże dobrodziejstwo i zaszczytność pracy, poda życiorysy ludzi, którzy wybili się sami na wyższe stanowiska, oraz zapozna z ważniejszymi dziełami miłosierdzia. Dodatki te do wypisów rozdane będą bezpłatnie wszystkim wychowawcom seminarjów, oraz rozesłane będą w odpowiedniej ilości do wszelkiego rodzaju szkół i bibliotek nauczycielskich. Głównem zadaniem tego „dodatku”, jak i wogóle całego nowego systemu wykładu będzie, że użyjemy słów tegoż dokumentu, wykażąc, jak wielkiem szczęściem jest dla narodu niemieckiego, zwłaszcza zaś dla obywateli państwa pruskiego, iż mają taką ojczyznę i taką dynastję, z których dumni być mogą.

Co się tyczy szkół wyższych, czyli po naszymu—średnich, to i w nich postanowiono wzmocnić wykład religii, zaznajomić uczniów obszerniej z najnowszemi dziejami Prus, zwłaszcza zaś z prawodawstwem społecznym, aż do najnowszycy jego przejawów, i wykazywać im niemożliwość i błędność doktryn demokracji socjalnej. Dla opracowania jednak szczegółów reformy gimnazjalnej postanowiono zwołać konferencyję specjalną, która zasiadała w Berlinie w grudniu r. z. i ze sprawozdania której czerpiemy właśnie dane powyższe.

Jeżeli jednak pobudki zwołania konferencyi były przeważnie polityczne, to względem ten nie uwydatniał się w czasie rozpraw. Toczyły się one na gruncie wyłącznie niemal pedagogicznym. We wstępnej nawet mowie cesarskiej spotykamy raz jeden tylko wzmiankę o demokracji socjalnej. Wilhelm II powiada mianowicie, że nieodpowiedniość szkoły dzisiejszej widoczna jest już z tego nawet, iż nie stworzyła ona oręża dla walki z socjalizmem. W dalszym ciągu mowy tylko ustępy dotyczące „narodowego” charakteru, jaki przybrać winien system szkolny, oraz utyskiwania na hiperprodukcję inteligencji, nie znajdujące odpowiedniego zajęcia, są jakby słabem echem słów reskryptu z dnia 1-go maja roku 1889.

J. H. Siemieniecki.

## Listy ze wsi.

V.

Z Lubelskiego.

Jeszcze słów parę o sklepach wiejskich. — Potrzeba ułatwienia kredytu włościanom. — Babki wiejskie. — Zabobonność.

Nieraz pewne dążności ogarniają jednostki z różnych sfer społecznych, zupełnie niezależnie pracujące. Prądy takie popychają społeczeństwo na nowe drogi. Dziś podobny objaw daje się z łatwością zauważyć w dążeniu do utworzenia swojskiego handlu. Jak zauważyłam w jednym z poprzednich listów, po wsiach mówią już o tem nawet wiejskie baby. Rzemieślnicy, wdowy, lokaje i ludzie innych zajęć pozakładali lub też mają zamiar założyć małe sklepiki. Z wieśniaków probują handlu tylko ci, których tu „dobrze już prześwieconymi” nazywają: jest to dość oryginalny termin, oznaczający jednostki wykształcone. — Większość tych nowokreowanych handelek w naszych stronach rozpoczyna sklep z kapitałem od 50 do 300 rubli. Towar co parę miesięcy sprządza się furmanką z Lublina. Najczęściej rzecz prowadzona jest w wysoce niepraktyczny sposób, bez rachunkowości i bez najmniejszej znajomości rzeczy. Pomimo jednak niedołęznego prowadzenia, sklep prawie zawsze trwa i daje nawet utrzymanie licznej rodzinie. Sklepiki takie mają zwykle kilku stałych kundmanów zpośród szlachty okolicznej lub księży; od włościan najczęściej zarabiają katolickie sklepy tylko w święta żydowskie. O niektórych słyszałam nawet, że w soboty podwyższają ceny, chcąc wynagrodzić sobie złe zarobki całego tygodnia. Poważną przeszkodą w pomyślnym rozwoju sklepu jest najczęściej brak odpowiedniego kapitału. Bardzo tu małą ulgę stanowi pozwolenie zakładania sklepów bez patentów, gdyż—jak dotychczas widać—każdy zakładający sklep woli nieuchylać się od zapłacenia małego podatku, czując się z nim—jak mówią—bezpieczniej. Największą jednak przeszkodą w pomyślnym rozwoju interesu jest naturalnie Izrael, którego choć jeden przedstawiciel musi znajdować się w najmniejszej nawet wioszynie. Żydzi tacy, o ile nie posiadają jawnych sklepów, pokątnie zopatrują wieśniaków we wszelkie niezbędne drobiazgi. A więc posiadają parę worków soli, trochę nafty, mydła, zapafek, świeżych gugli i baryłkę nadpsutych śledzi w czasie postu. Wszystko to, starannie ukryte przed okiem nieproszonego gościa, znajdzie się zawsze dla potrzebującego. W pewnej wiosce, co prawda trochę dalej położonej od miasta, ale liczącej zaledwie stu mieszkańców, dwóch żydów z licznemi naturalnie rodzinami utrzymuje się z takiego tajnego handlu. Ciekawą jest też taktyka żydowska w razach, gdy ma powstać sklep katolicki: najczęściej żyd proponuje wejście do wspólki; gdy zaś propozycją jego zostanie odrzuconą, wtedy rozpoczyna się już walka otwarta. Trudność w pomyślnem stoczeniu jej dla naszych sklepów stanowi wrodzony u żydów plemienny talent szachrajski. Jako drugorzędny już czynnik występuje łatwość, z jaką żydki przyjmują zapłatę w postaci jaj, maki, grochu i innych produktów gospodarskich. Zachęca też do kupowania u żyda to, że ten jaknajchętniej daje towar na kredyt, co dla naszych handlarzy—z powodu małego kapitału obrotowego i większych wymagań—jest rzeczą niemożliwą. Denuncjowanie tajemnych żydowskich sklepikarzy jest oczywiście dla ludności wstrętne, a zresztą i ten sposób nie na wiele się przyda. Pewien obywatel, zapalony antysemita, nie wydzierżawiał swej nader korzystnej propinacji żydom. Ci ostatni sprzedawali wódkę pokątnie i walka zacięta z tajnym wyszynkiem trwała lat kilkanaście. Obywatel używał niejednokrotnie akcji sądowej, nie to jednak nie pomogło; kilku żydków posadzono do kozy, ale kilkunastu kupczyło w dalszym ciągu. Po wielu latach żydzi zwyciężyli, gdyż obecnie oni faktycznie ową propinację dzierżawią. W ogóle w całej sprawie drobnego handlu swojskiego po wsiach uprzystępnienie kredytu miaoby wielkie znaczenie. Łatwego kredytu potrzebują też niezawodnie wieśniacy. Na spłaty lub dla po-

krycia nieprzewidzianych w gospodarstwie wydatków chłop nieraz zapożyczyć się musi. W dostaniu jednak pieniędzy napotyka zawsze niemało trudności. Kasy gminne nie mogą licznym zapotrzebowaniom zadość uczynić, i wieśniak jest zmuszonym udawać się do żyda lub do lichwiarza-polaka. Obaj biorą minimum 18%, z tą tylko różnicą, że żyd, wyciągając nadprogramowe korce zboża, miarki grochu, 10 jaj—czeka do nieskończoności, gdy lichwiarz-katolik licytuje upadłość bez zwłoki. Na szczęście na całą naszą okolicę posiadamy tylko jednego takiego domorosłego wyzyskiwacza. Jak bardzo potrzebnem jest dla naszego chłopu ułatwienie mu kredytu, dowodzi fakt, że włościanie pewnego wzbogaconego rządce, wypożyczającego im pieniądze na 12%, uważają za dobroczyncę. Zresztą najwomówniejszemi będą tu liczby, do świadectwa których w następnych jeszcze odwołam się listach.

A teraz jeszcze słów parę o tak zwanych „babkach” czyli akuszerkach wiejskich. Należą one do ruchliwszych żywiołów wioskowych: u nas przynajmniej natrafiłam z powodu warunków miejscowych na nader dodatnie typy. Jedną z nich wprawdzie nie słuchałam odpowiednich wykładów, ale zostawała czas dłuższy pod kierunkiem lekarza specjalisty. Same kobiety mówiły mi, że jej to zawzięczają, iż żadna z nich nie podlega chorobom, na które kobiety z innych wsi często narzekają—i uznają, iż dzieje się to dlatego, że ich „babka” w razach niebezpiecznych zawczasu każe wezwać doktora. Kto zna dobrze stosunki wiejskie, ten zrozumie, jak postępowem jest takie zdanie wiejskich kobiet. Naturalnie, że do wyrobienia podobnych pojęć o pomocy lekarskiej przyczynił się jeszcze w większej mierze lekarz, o którym pisałam poprzednio. Wracając do owej babki, po za swą specjalnością jest ona typem baby plotkarki, o których to mówią, że wiedzą, jak trawa rośnie. Uważa się za coś lepszego, jest wielce rozmowną i zna tajemnice nietylko wszystkich chat, ale jest powiadomioną o niektórych zakulisowych sprawach nawet pałaców, sterczących dumnie. U swoich cieszy się ogólnym szacunkiem, chociaż narzekają nieraz na niepowściągliwość jej języka. Pomimo to, należy ona do żywiołów propagujących oświatę i można ją znaleźć zawsze chętną do wprowadzenia wszelkich korzystniejszych inowacyj. Dla syna nie żałowała nawet grosza i umieściła go w miasteczku u nauczyciela. Innym znow razem zebrała całą gromadę dzieci do jednej chaty, gdyż znalazła dziewczynę chętną do zajęcia się nauczaniem. Do biednego sieroty, którego darmo uczono, wołała: „ucz się, to ci piękną książeczkę przywiezę z Częstochowy”.

Druga znow babka, w znacznie szerszym znana okręgu, jest najpopularniejszą w okolicy osobistością i w rzemiośle swoim wykwalifikowaną znawczynią. Rzeczywista znajomość rzeczy i użyteczność, w połączeniu z nadzwyczajną jej religijnością, sprawiają, że przezywają ją świętą i dziś już poczynają o niej kraje opowiadania, zakrawające na legendy. Dowodzą np., że skoro tylko wyjeżdża ona z domu, chora to odczuwa i natychmiast lżej się jej robi... Pewnego też razu, gdy ją wezwano do ciężko chorej, w czasie, gdy drogi były popsute i ciemność panowała ogromna, przed bryczką, którą jechała, dwie świece tajemnicze miały się ukazać i oświecały niebezpieczną drogę... Za przybyciem babki chora urodziła szczęśliwie bliźnięta. W tem opowiadaniu naturalnie liczba świec ma związek z tem, że dwoje też przyszło na świat dzieci. Taka zabobonna religijność stanowi może główną cechę wierzeń ludowych. Upatrywanie w najprostych zjawiskach cudu i tyśiączne opowiadania, pełne nieprawdopodobieństw, posiadają ogromny dla większości urok. U ludu wyobraźnia niezmiernie jest wrażliwa, żądną nadzwyczajności i poezji. Znajdują się osobistości, cieszące się przydomkami bardzo „zdatnych” i „pamiętliwych”, które posiadają ogromny zapas opowiadań, niedokładnie najczęściej zasłyszanych, a przez opowiadacza odpowiednio ubarwionych—tu dopiero najlepiej uwydatnia się bujność wyobraźni i świeżość rodzimej poezji.

W. K. Szczęsna.



## Przegląd społeczny.

**Łuków.** (Kor. „Głosu”). Radbym, stosując się do waszego życzenia, od czasu do czasu napisać cokolwiek o naszym mieście, ale gdy biorę się do rzeczy, doznaję wrażeń, jakbym miał odkrywać na pokaz światu kogoś śpiącego. Moja duma powiatowa buntuje się wtedy. Prawdopodobnie ciekawszy był Łuków w tej epoce, kiedy Jadźwingom „wstąpił czynił”, bo choć nie był wtedy tak grubo zaawansowany w kulturze, nie posiadał klubu, kwest wielkanocnych, ani sentymentalnie promieniących latarni, to jednak czuł wtedy i grał jakimś życiem. Obecnie niema co o nim pisać, jeżeli chcecie wiadomości o stosunkach miejscowych—bo tu, boję się powiedzieć, niema stosunków. W karnawale pół biedy. Poszedł na bal do klubu i było się na co napatrzeć. Zeszli się panowie w paradnych strojach, stosownie do rodzaju służby, do północy słuchali, jak żydzi stroją instrumenta muzyczne, zjawiała się dama jedna lub dwie i rozechodzono się do domów z miną ludzi stańców. Reszta sezonów w roku pozostaje za to, pod względem towarzyskim, na odpoczynek; tylko najzwężsi walczą w klubie w winta bez względu na porę roku, i ci mają w sobie, niezawodnie przez atawizm, coś z przodków wspomnianej doby. Po za tem mamy tylko stosunki do zajęć biurowych, do własnego żołądka, trochę rodzinnych w miarę możliwości, ale tych nie ciekawicie pewno. Zarzucicie mi, że myślę tylko o optymatach, że przecie pozostaje ta warstwa, która i t. d. Wiem, istnieją żydzi, w biegiem okoliczności obywatele, kupcy i rzemieślnicy w Łukowie są żydami. Masa żydostwa wypełnia ciasniejsze kąty miasta i stoi na rynku w oczekiwaniu targu tygodniowego. Może tu są jakie „stosunki”, ale któż je zbada? Wiem, że Łuków z przyrodzenia jest miastem biednym; w okolicy nędzna ziemia, porośnięta jałowcem lub tatarak, ludność rolna wycieńczona, żadnego prawie przemysłu, a równoległe z tem tyle żydów żyje z czegoś w Łukowie. Z czego? Tego rozwiązać nie jestem w stanie i wątpię, czyby mi w tem pomógł kwestyjnaryjusz p. Świętochowskiego. Znałem w jednej z okolicznych wiosek kowala żyda; losu dobrego na wsi nie wykuł, stracił, co miał, nawet narzędzia; może w jakim handlu cichym stracił, dość, że pozostał nędzarzem. Kiedy, na widok pustej kuźni, zapytałem chłopca, gdzie się żyd podział i co z sobą robić zamierza, ten odpowiedział mi z miną człowieka dającego dokładne informacje, że poszedł między żydy do Łukowa. To „między żydy pójść”, jako sposób materyjalnego bytowania, niby profesya jaka, jest bardzo charakterystyczne i przypomina poniekąd dawne „do lasu pójść (z pałką)”. — Że okolica jest biedna, o tem krzyczą najgłośniej gospodarze rolni, zwani obywatelami. Wierzyciel, jak głodny wilk, ich prześladowuje. Komu serwituty na to pozwalają, rzuca w paszczę potworowi kawał lasu na odczepnego i zmyka dalej. Ale na mizernej roli, przy pierwotnym systemie gospodarstwa, szlagon daleko zajechać nie może. Znać to widowisko, jak szlachcic, dla fantazyi lub ratowania opinii, w tej ucieczce przed bankrutem, udaje, że nie tyle ucieka, ile goni, i wskazując domowym socyologom chłopca, krzyczy w niebogłoso: „łapajcie! on mnie zrujnował!” Ja znoum znam tutaj takiego pana, który ratuje się od bankrutstwa w sposób zbyt oryginalny w ustroju nawet kapitalistycznym: nie płaci wcale najemnikom. Lud potrzebuje tu zarobków, a niema gdzie po nie chodzić, daje się uwodzić jego obietnicom i co roku dobywa dla niego z ziemi bogactwa. Robi to od kilku lat bez wynagrodzenia! Potulny podlasiak jest niedołężnym wierzycielem; zanim odważy się wziąć do szlagona na seryjo, śladu już może z niego nie będzie. *W. G.*

### Z CESARSTWA.

**Wilno** (Kor. „Głosu”). W jednym z poprzednich numerów „Głosu” była pomieszczoną wiadomość z Wilna o zsolidaryzowaniu się tutejszych szewców, którzy założyli wspólną pracownię i przez to dali dobry przykład innym rzemieślnikom. Bliższe szczegóły tej sprawy nasuwają parę myśli niezbyt pocieszających. Naprzód, w danym wypadku, jak i w wielu razach, bardziej rozwiniętym i postępowym elementem okazali się żydzi; oni to bowiem założyli wspomnianą pracownię i przez to dali nowy dowód swej solidarności i umiejętności przystosowania się do warunków. Warsztat składa się z 30 szewców i najmuje lokal, utrzymywany za wspólne pieniądze. Każdy ze współników obowiązany jest wnieść 25 rub. i własne narzędzia pracy. Podział pracy tymczasem nie jest stosowanym, każdy wykończa obuwie i otrzymuje

zarobek stosownie do ilości zrobionych przez niego par. Stowarzyszenie opiera się na zobopólnem zaufaniu członków; zbywać towar ma nadzieję poza obręb miasta, by przez to uniknąć zbyt silnej konkurencji. Interes ten, niewątpliwie korzystny dla pracujących, powinien by zachęcić i chrześcijan, i rzeczywiście, debaty w tej kwestyi były kilkakrotnie podejmowane na zebraniu cechowym szewców, lecz, niestety, skończyły się na niczem. Wielu, naturalnie bogatszych, domagało się podniesienia wysokości składki do 100 rs., przytem niektórzy widzieli w tem możność wygodnego ulokowania kapitału. Następnie, z niedowierzaniem patrzone na tych, którzy goręcej brali się do sprawy, podejrzewając ich o chęć owdarcia interesem i wspólną kasą. Jednym słowem, na przeszkodzie stanął głównie niski poziom umysłowy mieszczaństwa i wynikające ztąd ciasne pojmowanie własnego interesu, brak solidarności i zaufania. Gdyby nawet projekt przyszedł do skutku w warunkach, na które się zgodzono, nie miałyby on społecznego znaczenia; proponowana składka dostępna jest tylko dla bogatszych, a więc zabezpieczonych, tymczasem cierpi najbardziej masa drobnych majstrów i czeladników, którzy siedzą bez roboty, lub, pracując pojedynczo do kramów, zarabiają 2 rs. tygodniowo. *Sam.*

**Mińsk gub.** (Kor. „Głosu”). Głośna sprawa Maryi Maszewskiej i Feliksa Tęczyńskiego została tu narzeszcie osądzona. Artur Maszewski, obywatel ziemski, zmarł przed kilku laty bezdzietnie; cały jego fundusz miał przejść w posiadanie brata, p. Narczyza M. W chwili, gdy ten ostatni układał plany co do sposobu administracji, w rozległych dobrach przezeń odziedziczonych, jako pretendenta do całkowitego spadku występuje niejaka Maryja Maszewska, podająca się za prawowitą córkę zmarłych Artura i Emilji Maszewskich. Twierdzenie swoje dziewczyna popiera metryką. P. Narczyk Maszewski, wielkim niepokojem ogarnięty, usiłuje wejść z dziewczyną w układy, proponuje jej wyjazd do Galicyi, przekłada jej srom, jaki spadnie na ród Maszewskich, gdy ona z pretensjami swemi wystąpi. Nie nie pomaga i dziewczyna występuje na drogę sądową. Narczyk Maszewski utrzymuje, iż metryka jest sfałszowaną, że owa Maryja Maszewska jest nieprawą córką brata jego, Artura i ks. Radziwiłłowej z Annapola, następnie — że niejkiej Niesłuchowskiej. W końcu podaje ją za córkę włościan Malukiewiczów. Wśród ogółu utrzymuje się wersya, że owa Maryja Maszewska w 7-ym roku swego życia, w chwili, gdy ojciec jej dostał obłędu, została porwana przez stryja i oddana na wychowanie niejakiemu Malukiewiczom. Ojcu oświadczone, że córka zmarła, aby zaś upewnić go w tem, urządzono pogrzeb... pustej trumny. O sfałszowanie owej metryki został osądzony niejaki Tęczyński. Eksperti uznali podpisy na metryce za autentyczne, zaś pieczęć—za fałszywą. Sprawa ta o fałszerstwo rozstrzygała się w tutejszym sądzie okręgowym; w ciągu dni trzech nabrała olbrzymiego rozgłosu. W obronie oskarżonych występował znany adwokat petersburski, ks. Urusow. Przyniesli wyrok uniewinniający zarówno dla Maszewskiej, jak i Tęczyńskiego. *K. P.*

**Nieśwież.** (Kor. „Głosu”). Sklepom chrześcijańskim dotąd się u nas nie szczęściło: konkurencya z żydami, którzy nb. uciekali się do łotrskich sztuczek, ażeby szkodzić swym współzawodnikom — *gójom*, zabiła wszystkie przedsięwzięcia. Obecnie organizuje się tu spółka akcyjna (do 50-ciu osób, wyłącznie chrześcijan), która ma otworzyć wkrótce w Nieświeżu kilka sklepów z najrozmaitszemi towarami. Spółce tej, opartej na znacznym kapitale, można wróżyć, jak się zdaje, powodzenia. *P. A.*

**Petersburg.** Prasa interesuje się żywo nową polityką kolejową rządu. Postanowiono mianowicie tworzenie wielkich towarzystw kolejowych i poruczenie im budowy nowych dróg żelaznych. Projekty dwóch takich umów zostały ogłoszone. W jednym rząd zapewniał sobie udział w spodziewanym dochodzie nowej drogi, w drugim zaś niedobór, spodziewany na nowej drodze kazańsko-razańskiej, ma być pokrywany z dochodów drogi moskiewsko-razańskiej. W zamian za to rząd odrzuca na lat 10 prawo wykupu dróg dawnych. Nowa ta polityka żywo jest dyskutowana. Zwolennicy gospodarki państwowej uważają nową kombinacyję za krok wsteczny, większość pism jednak uznaje pożyteczność nowej polityki, zwłaszcza, że na rząd padnie ciężar budowy drogi żelaznej syberyjskiej. — Zjazd przedstawicieli akcyjnych banków ziemskich opracował nowy projekt konwersyi 6 procentowych listów zastawnych na 5 procentowe. Według projektu wszystkie pożyczki 6 proc. zamienione będą na 5 proc. bez zmiany sumy długu i bez odroczenia terminu ostatecznej wypłaty długu. — Z szeregu dokonanych przez ministerjum finansów konwersyj zasługuje na uwagę zamierzona konwersya obligacyj kolei szujsko-ivanowskiej. Ministerjum wykupiło całkowicie istniejące obligacje 5-procentowe, nową zaś 3-procentową pożyczkę ogłosi w terminie, jaki za wła-

ściwy uzna. Realizacyja nowej pożyczki jest podobno zapewniona. — P. Spasowicz rozpoczął szereg odczytów, poświęconych nowym kierunkom w nauce prawa karnego. Pierwszy odczyt zaznajomił słuchaczy z włoską szkołą antropologiczną (Lombroso, Ferri, Garofalo). Prelegent nie uznaje istnienia typu zbrodniarza urodzonego; sądzi on, że jest tylko typ więzienny, czy nawet kryminalny, analogiczny z innymi typami zawodowymi.

## PRZEGLĄD POLITYCZNY.

W chwili gdy to piszemy, kończą się w Wiedniu ostatnie przygotowania do sesyi rady państwa. Dzienniki podają już treść bezbarwnej mowy tronowej, która ma wzywać do zgody i zaniechania kwestyi politycznych. Dawna prawica zbierała się raz jeszcze na narady pod wodzą Hohenwarta, koło polskie wybrało ponownie p. Jaworskiego na przewodniczącego. Sesya rady nie budzi zresztą obecnie wielkiego interesu. Nie ulega wątpliwości, że za kulisami porozumiano się już dostatecznie i początki przynajmniej z góry już są ułożone. Mocno natomiast interesuje się w Wiedniu wyborami do rady municypalnej. Dowiodły one raz jeszcze, że antysemityzm podbija coraz bardziej stolicę monarchii, owo zaś przyłączenie przedmieść, którego tak pragnęli liberali, zgotowało ich ostateczną klęskę. W kuryi pierwszej na 46 radców wybrano 33 antysemitów. W kuryi drugiej na 46 radców 7 antysemitów.

Gdy już wspomnieliśmy o antysemityzmie, zanotować musimy, że Anglija niepokoi się coraz bardziej napływem żydów zagranicznych. Rząd królowej Wiktorji nosi się z zamiarem obmyślenia środków, mających ten napływ powstrzymać, tymczasem zaś nakazał zbieranie dokładnych danych co do liczby i stosunków żydów przybywających na gościnnie dotąd ląd wielkobrytański. Dzienniki podnoszą projekt kolonizacyi Palestyny przez żydów, doradzając filantropijnemu baronowi Hirschowi zwrócić na ten cel miljony, które „zaoszczędził” niegdyś w Turcyi, a obecnie na rzecz swego plemienia poświęcić pragnie. Baron poprzednio nie był zwolennikiem Palestyny i marzył o kolonijach żydowskich w Ameryce, ponieważ jednak ani północna ani południowa Ameryka żydów wcale nie pragną, być może więc baron Hirsch będzie musiał uciec się do tego środka. Miałby w ten sposób zręczność wywdzięczenia się Turcyi za swoje bogactwo.

Nie lubią żydów w Ameryce, nie lubią jednak tak samo i włochów. Oprócz wszelkich innych zalet synowie uroczej Italii wzbudzają niechęć wielką swą solidarnością, dzięki której potrafili oni zorganizować się w groźne stowarzyszenia kraju. Przed kilkunastu laty z podobnemi stowarzyszeniami prowadzono zacieklą walkę w samych Włoszech, obecnie jednak cała prasa włoska popierała energicznie patryjotyczne wystąpienie gabinetu Rudiniego w sprawie powieszonych w Nowym Orleanie skrytobójców włoskich.

Rząd Stanów Zjednoczonych znajdował się w nader trudnem położeniu. Poseł włoski domagał się surowego ukarania winnych, tymczasem konstytucya nie pozwalała mu na wtrącanie się w sprawy oddzielnych stanów, trudno zaś przypuszczać, żeby w Luizyjanie skazano winnych sądu Lyncha, ponieważ, jak się okazuje, inicjatorami jego byli najpoważniejsi mężowie Nowego Orleanu. Ostatnie wiadomości donoszą wszakże, że poseł włoski nie odjechał z Waszyngtonu i że zatarg przybiera lepszy obrót, gdyż okazało się jakoby, że 2 tylko powieszonych było poddanymi włoskimi, pozostali zaś zaliczali się już do rządu obywateli amerykańskich.

Oprócz zatargu amerykańskiego mają włosi zatarg afrykański z niewdzięcznym pupilem, Menelikiem. Przysłał on obecnie list do króla Humberta, oświadczając się z przyjaźnią, jednocześnie jednak oznajmia, że protektoratu włoskiego nie pragnie. Wobec silnego postanowienia oszczędności, Włochy zapewne o protektorat wojny nie wydadzą. Z utraty zaś protegowanego pocieszy ich może pewność, że i nadal zaszczycać ich będą swą protekcyją i przyjaźnią dwaj cesarze niemiecki i austriacki, tak zapewnia przynajmniej telegraf, donoszący o odnowieniu trójprzymierza.

We Francyi od czasu pobytu cesarzowej Fryderykowej zwrócono uwagę na działalność ligi patryjotów, która, aczkolwiek formalnie rozwiązana, istnieje podobno nie przestała. Liczne rewizyje, areszty i badania do poważniejszych jednak odkryć nie doprowadziły. W ostatnich czasach zasiadało w Paryżu kilka mniej więcej znaczących kongresów. Drugi mię-



dzynarodowy kongres katolików odbył się pod przewodnictwem biskupa Freppela, o działalności jego jednak nie posiadamy szczegółowych danych. Kongres posybilistów wyraził życzenie zjednoczenia się wszystkich frakcji demokratycznych. Wreszcie międzynarodowy kongres górników zgromadził 99 delegatów, przedstawiających 100,000 robotników.

Agitacja Parnella, pomimo entuzjastycznych przyjęć przez ludność, dotąd powodzeniem uwieńczoną nie została. W Sligo wybrano znowu antyparnelistę.

*Reichsanzeiger* doniósł, że ministerjum przedstawi sejmowi projekt użytkowania i kontrolowania funduszu welfickiego.

Cesarz Wilhelm nie przesłał w dniu urodzin Bismarka żadnych życzeń solenizantowi.

Parlament rozpoczął w dalszym ciągu obrady nad prawem robotniczym.

W Belgradzie odkryto podobno spis, wymierzony na króla i rejentów. Przedsięwzięto środki ostrożności, skonsygnowano wojska, patrole przebiegają ulice.

W Bułgarii, jak donosi *Times*, wybuchło około Widdynia powstanie chłopskie, dla stłumienia którego musiano wysłać wojska.

Następcą Bolczewa został Naczewicz, dotychczasowo poseł w Wiedniu.

Hrabia Paryża mianował swym pełnomocnikiem hr. d'Hassonville w miejsce Bochera.

## KRONIKA LITERACKA.

**Ogrodnictwo przemysłowe**, *Edmunda Jankowskiego*. Z 58 rysunkami. Nakład i własność autora. Warszawa, 1891.

**Praktyczny przewodnik wychowania**, *Henryka Wernica*. Nakład księgarni G. Centnerszvera. Warszawa, 1891.

**O cudach i nowoczesnym spirytyzmie**. *A. Wallace*. Przekład z 3-go wydania oryginału J. K. Potockiego. Nakład i druk S. Lewentala. Warszawa, 1891.

**Do Brazylii po dyjamenty**, czyli ciekawe przygody Florka Kurzawy w stepach i puszczech brazylijskich. Napisał *Józef Grajner*. Warszawa, 1891. Nakł. Wł. Szulca.

**Listy ex-aktora do ex-aktorki (I—VI)**. Napisał *Karol Hoffman*. Warszawa i Radom, 1891.

**Człowiek zbrodniarz**. *C. Lombroso*, zeszyt I-szy. Z 4-go wyd. włoskiego, przełożył *J. L. Popławski*. Nakład M. Wołowskiego. Warszawa, 1891.

**Wiek XIX**. *O. Leiznera*. Z licznymi ilustracjami. Opracował *Fr. Rawita (Gawroński)*. Tomu I-go, zeszyt I-szy. Nakład Gebethnera i Wolffa. Warszawa, 1891.

## KRONIKA POWSZECHNA.

— **Rozporządzenia rządowe**. Najwyższy Rozkaz z d. 26 marca ogłasza: Fligel-adyutanta sztabu - kapitana pułku strzelców lejb-gwardyj Jego Cesarską Wysokość Wielkiego Księcia Michała Michałowicza wyklucza ze służby, oraz rozkazuje 49-mu brzeskiemu pułkowi piechoty Wielkiego Księcia Michała Michałowicza nazywać się 49-ym pułkiem brzeskim piechoty, a 4-ą bateriją Wielkiego Księcia Michała Michałowicza brygady artylerji konnej gwardyi, nazywać się 4-ą bateriją brygady artylerji konnej gwardyi. — Ministerjum spraw wewnętrznych po porozumieniu się z rządem niemieckim przesłało do rządów brazylijskiego i argentyńskiego notę, domagającą się przyjmowania emigrantów, przybierających tylko za paszportem legalnym, i natychmiastowego zezwolenia powrotu osobom tego pragnącym. — „Praw. Wiestn.“ zamieszcza rozporządzenie o powiększeniu funduszów, asygnowanych na utrzymanie zjazdu sędziów pokoju m. Warszawy, o 3,000 rubli rocznie. — Od 1-go maja rozporządzenie o naczelnikach ziemskich będzie wprowadzone w gub.: petersburskiej, twerskiej, jarosławskiej, penzeńskiej, tambowskiej, saratowskiej, sybirskiej, kazańskiej, wiackiej i wologodzkiej. — Naczelnik miasta Petersburga rozkazał wysłać z miasta wszystkich żydów, nie mających określonych zajęć.

— **Kronika społeczna**. Na urządzenie cerkwi prawosławnych w kraju Zachodnim i w Królestwie Polskiem wyznaczono na r. b. 35,000 rub. Na utrzymanie plebanii w Sosnowicach przeznaczono 1,450 rub. rocznie; duchowny będzie otrzymywał 1,200 rub., psalmista 200,

a stróż cerkiewny 50 rubli. — Dla przeciwdziałania rozwojowi sekciarstwa w Rosyi, duchowni parafijalni otrzymali polecenie starać się o przyciąganie dzieci sekciarzów do szkół kościelno-parafijalnych. — Minister skarbu wniósł do rady państwa przedstawienie o rozciągnięciu do gubernij Królestwa Polskiego prawa fabrycznego z roku 1886, mianowicie: 1) o nadziorze nad robotnikami fabrycznymi i 2) o dozorze nad fabrykami i o wzajemnych stosunkach fabrykantów i robotników. Pierwsza z tych ustaw rozciągnięta zostanie do całego Królestwa, druga tylko do gub. warszawskiej i piotrkowskiej. Całe Królestwo podzielone zostaje na dwa okręgi: do pierwszego należeć będą gub. warszawska, plocka, łomżyńska, suwalska i siedlecka; do drugiego piotrkowska, radomska, kaliska, kielecka i lubelska. Obecny etat dozoru fabryczno-inspektorskiego powiększony zostaje o jedną posadę inspektora fabrycznego i pięć pomocników inspektorów. Decyzja w tej sprawie zapadnie prawdopodobnie niedługo, gdyż na r. b. przeznaczono 19,500 rs. na utrzymanie powiększonej inspekcji fabrycznej w Królestwie. — Przy ministerjum spraw wewnętrznych rozpoczyna swoje czynności komisja, mająca ostatecznie opracować kwestyję zniesienia prawa służebnościowego w kraju Zachodnim. — Procentowy stosunek posłów do izby z Galicyi podług stanów wynosi: właściciele dóbr 54, profesorowie 14,3, urzędnicy 9,5, duchowni i adwokaci po 8, dziennikarze 4,75 i przemysłowcy 1,5 procent. — Sekretarz komitetu Muzeum przemysłu i rolnictwa Adolf Kossowski podał się do uwolnienia z zajmowanego stanowiska. — Warszawskie tow. lekarskie ma do rozporządzenia w r. b. 6 stypendyjów po 300 rs. i jedno 250 rs. — W r. 1889 liczone w Rosyi 150,089 handlów napojami; z tej liczby 48,485 znajdowało się w miastach, 101,604 w innych miejscach. Jeden zakład z trunkami przypada na 773 mieszkańców (w miastach na 312 osób, w wsiach zaś na 904). W poszczególnych prowincjach ilość trunków, skonsumowanych średnio przez jedną osobę, była następująca: w gub. petersburskiej i moskiewskiej 0,67 wiadra, w kraju Południowo-Zachodnim 0,33, w gub. Południowych 0,31, w środkowych przemysłowych 0,25, w kraju Nadbałtyckim 0,24, w gub. Małoruskich 0,23, w gub. środkowych czarnoziemnych 0,22, w kraju Północno-Zachodnim 0,21, w Królestwie Polskiem 0,21, w gub. Północnych 0,17, w gub. Wschodnich 0,15. — Kasa pomocy inżynierów komunikacji w Petersburgu liczyła w r. 1890 członków 316, dochodu miała 11,053 rs., rozchodu 1,477 rs., w tej liczbie wsparć jednorazowych 6-ciu osobom 1,135 rs. Kapitał żelazny kasy wynosi 38,000 rs. — W marcu r. b. przybyło do Stanów Zjednoczonych wychodźców z Europy 42,767 osób, w tej liczbie najwięcej włochoń — 7,869, oraz niemców 7,081. W r. z. w tymże miesiącu przybyło tylko 29,333 osób. — Londyński „Standard“ zwraca uwagę na niebezpieczeństwo wzrastającego z Rosyi do Anglii napływu żydów. — Na wystawę w Pradze czeskiej zgłosiło się 3,000 eksponentów, w tej liczbie 680 niemców.

— **Kronika ekonomiczna**. Ministerjum dóbr państwa wniósł do Rady państwa projekt organizacji urzędów i opieki nad przemysłem wiejskim, żądając 60,000 rs. rocznie na cele powyższe, z prawem użycia tego funduszu na zasiłki pieniężne dla kierowników i instruktorów przemysłu wiejskiego, a wreszcie zorganizowania specjalnej sekcji do spraw przemysłu wiejskiego. — Na gruntach wsi Sączew, w pow. będzińskim, odkryte zostały pokłady węgla kamiennego, obejmujące 406 morgów. Pozwolenie na eksploatację kopalni, której nadano nazwę „Matylda“, uzyskał K. Harting. W pow. częstochowskim odkryto rudę żelazną we wsi Gnaszyn, na przestrzeni 8 mor. 150 przęt., we wsi Podłężne-Królewskie, na przestrzeni 35 morg. We wsi Strojec, w pow. kaliskim, na przestrzeni 7 m. 186 pr. Na gruntach włościańskich we wsi Strzemieszycze Małe, pod Sosnowicami, odkryto świeżo kopalnię galmanu, pierwszą w tamtej okolicy. — Lombard petersburski stara się o otwarcie swej filii w Warszawie. — Ogólna liczba wystawców Królestwa, biorących udział w wystawie środkowo-azyjatyckiej w Moskwie, wynosi 55. — Tak zw. instytucje kompensacyjne (Clearing-Houses, Maisons de Compensation, Saldirungs-Vereine), których celem jest ułatwienie swym uczestnikom, firmom handlowym, stowarzyszeniom i t. d. codziennych likwidacji wzajemnych należności za pośrednictwem jedynie księgowania sum na ich rachunkach kompensacyjnych bez dotykania gotowizny, znakomicie rozwinęły się w Europie i Stanach Zjednoczonych. Szkocya i Anglija posiada je od r. 1775, Ameryka od 1853, Paryż i Wiedeń od 1872, Włochy od r. 1881, w Niemczech od 1883. Według statystyki z lat 1884 i 1885, roczne obroty (w miljonach) wyniosły w Londynie 5,700 funt. ster., w Paryżu 600 fr., w St. Zjedn. 35,600 dolarów, w Wiedniu 514 florenów, we Włoszech 2,011 lirów i w Niemczech 15,069 marek. — W r. 1889 wywieziono z Rosyi o krągłych cyfrach 436 milionów, w r. zaś 1890 tylko 392 miliony pudów różnego zboża. — Paryżki „Cosmos“ podaje następujące obliczenie względnej wartości złota

i srebra: jedna uncya złota warta była na 1000 lat przed Chr. 9 uncyj srebra, w 500 lat później — 13 uncyj, w r. 500 ery naszej 13 uncyj; w 1110 r. 8 uncyj; w 1400 r. 11 uncyj; w r. 1455 tylko 6. W wieku XVI, w epoce odkrycia Meksyku i Peru, można było dostać funt złota za dwa funty srebra. Ale w r. 1600 złoto znowu zyskało na wartości i było dziesięć razy droższe od srebra. W r. 1725 było 13 razy droższe. Na początku wieku bieżącego warte było 15 razy więcej niż srebro, nareszcie w r. 1876 doszło do najwyższej ceny, przewyższywszy wartość srebra 20 razy. Odtąd utrzymuje się w jednostajnej mierze, z bardzo małemi wahaniami.

— **Szkoły i oświata**. Z decyzji ministerjum oświecenia z początkiem roku szkolnego 1891/92 opłata w instytucie weterynaryjnym warszawskim podwyższoną zostaje na wszystkich kursach z rs. 25 na rs. 50 rocznie. — Władza edukacyjna wyjaśniła, że osoby, nie mające kwalifikacji seminaryjnych, posad nauczycielskich w początkowych szkołach zajmować nie mogą, zaś w razach wyjątkowych nie inaczej, jak za upoważnieniem kuratora okręgu naukowego. — Świadczenia nauczycielek domowych uzyskały od warszawskiego okręgu naukowego pp. Konarzewska, Wittoszyńska, Hammerówna, Palczewska, Sperańska, Milkerówna, de Andre, Kulikowska, Łaskiewiczówna, Heryng, Jaskworska i Grządzielówna. — Wydział lekarski uniwersytecki warszawskiego zatwierdził w stopniu lekarzy pp. Bobruka, Buchowieckiego, Chojkę, Swidwińskiego i Filleborna. — P. C. Bronowska, uczennica p. M. Weryho, uzyskała pozwolenie na założenie w Łodzi szkoły froeblovskiej. — Ministerjum oświecenia poleciło kuratorom okręgów naukowych zająć się urządzeniem pensyjonatów przy gimnazjach gubernijalnych, po porozumieniu się co do stałej zapomogi na koszty utrzymania z ziemstwami i zarządami miast. — W ministerjum oświaty poruszoną została kwestyja wprowadzenia w każdym okręgu naukowym, wziętym oddzielnie, jednakowych podręczników ze wszystkich przedmiotów kursu nauk, przez cały czas prowadzenia tej nauki. — Ministerjum dóbr państwa ogłasza konkurs na napisanie popularnego podręcznika co do sposobów walki z owadami szkodliwymi dla zbóż i roślin. — Z początkowania osób prywatnych ma być założona w Kownie szkoła dla niewidomych, na którą zarząd miasta ofaruje stosowny lokal i jednorazowy zasiłek pieniężny. — Kongres międzynarodowy w sprawie wykształcenia profesjonalnego, handlowego i technicznego ma być zwołany w r. 1893. — Tow. wspierania uczącej się młodzieży w Kamieńcu Podolskim liczyło w r. z. 24 członków honorowych i 72 stałych, posiadało kapitał żelazny 3,080 rs., obrotowego 506 rs., w ciągu roku uzbierało 1,648 rs. Z sumy tej wydano na wpisowe 1,297 rs. W ciągu lat dziesięciu wydano na ten cel 18,960 rs., zebrano 24,542 rs. — Uniwersytet w Czerniowcach liczył w zimowym półroczu zaledwie 310 słuchaczy, a to 107 rumunów, 61 niemców, 39 rusinów i 26 polaków, narodowość 69 podano jako żydowską.

— **Literatura i sztuka**. Według „Pamiętnika tow. lekarskiego“ lekarzy-autorów było w 1888 r. 163, prac i artykułów obszerniejszych 286, z tego 30 opartych na samodzielnym doświadczeniach, 30 — na szerszych źródłach i t. d., najwięcej prac przypada na „Gazetę Lekarską“ — 104, „Przegląd Lekarski“ 88, dalej idąc: „Pamiętnik Towarzystwa Lekarskiego“ 46, „Medycyna“ 24, „Zdrowie“ 13 i t. d. — Stan zdrowia Aleksandra hrabiego Fredry jest nader krytyczny. — Czeskie „Ateneum“ zamieściło artykuł profesora Baudouina de Courtenay o profesorze byłej szkoły Głównej B. Kwiecie. — W piśmie chorwackiem „Viena“ znajduje się obszerna i pochlebna ocena dramatu Bronisława Grabowskiego pod tytułem „Boruta“. — Cykl poezyj Czesława (Cz. Jankowskiego) p. t. „Capriccio“, przetłómaczył na język niemiecki dr. Albert Weiss, znawca naszego piśmiennictwa, który wydał w przekładzie swoim kilkanaście przednich utworów literatury naszej. — W Muzeum pedagogicznym w Petersburgu Włodz. Spasowicz rozpoczął szereg prelekcji o „Nowych kierunkach w nauce prawa karnego“. — Słowiańskie Tow. dobrocz. w Petersburgu wydało na r. b. „Sławiański Kalendar“, w którym znajduje się wiadomość i podobizny z pierwszej drukowanej książki staro-słowiańskiej, wytlóconej w Krakowie u Fiola. — Na posiedzeniu kongresu geograficznego w Wiedniu prof. Tomaszek miał odczyt o stosunkach etnograficznych Macedonii, w którym dowiódł, że ludność tej prowincyi jest słowiańsko-bułgarską.

— **Rozmaitości**. Najdroższem pismem na świecie jest tygodnik, wychodzący w Ameryce p. t.: „New York Maritime Register“. Prenumerata roczna tego pisma kosztuje w Austrii 263 zlr. — W otwartym w Paryżu piątym kongresie chirurgicznym przyjmuje udział 350 lekarzy, w liczbie których znajdują się: ginekolog Spencer Wels, Wiktor Horsley, operator mózgu, Lawson Tait z Birminghamu, który trzy tysiące razy przecinał, wyznął i gospodarował w ludzkich żołądkach. — Na



kongresie chirurgów w Berlinie Bergman potępił stanowczo kantarydynę Liebreicha utrzymując, że wpływ jej leczniczy na lupusa jest tylko chwilowym. — Znany podróżnik Grum-Grzymajło ofiarował dla muzeum Akademii nauk w Petersburgu kolekcję zoologiczną, zebraną w Azji Środkowej. — Minister komunikacji zatwierdził nowy typ wagonu pasażerskiego III klasy. Wagon przeznaczony jest na 58 pasażerów i odznacza się rozmaitemi udogodnieniami. — Inżynier sztokholmski Lilliekvist wypracował plany połączenia koleją żelazną miast Helsineborg i Elsnar, z których jedno znajduje się na szwedzkim, a drugie na duńskim brzegu morza. Kolej ma iść w sztucznym tunelu żelaznym, opuszczonym do pewnej głębokości w wodę. Most tunelowy składa się z rur żelaznych, objętych z zewnątrz obręczami stalowymi. Długość mostu wynosić ma cztery kilometry. Koszta budowy nie przeniosą podobno 15 do 20 mil. marek.

— **Nekrologja.** Dr. Henryk Łuczkiwicz, ceniony lekarz i autor, zm. w Warszawie. — St. Zawadzki, znany prawnik, zm. w Nicei. — Joel Mironowicz, członek redakcji „Wilenskaho wiestnika“, tłumacz wielu utworów z polskiego na ruski, zm. w Wilnie. — Paweł Kozłow, jeden z bardziej utalentowanych poetów ruskich, tłumacz Słowackiego, Kondratowicza (Syrokomla) i Zaleskiego, zm. w Moskwie. — August Becker, jeden z wybitniejszych powieściopisarzy niemieckich, zm. w Eisenach. — Lord Jerzy Granville, Leveson-Gover, angielski mąż stanu, zmarł w Londynie. — Fryderyk Stoltze, ceniony poeta niemiecki, zm. we Frankfurcie nad Menem.

### Odpowiedzi od Redakcyi i Administracyi.

Instytyucyje Polityczne zostały wysłane nast. osobom:  
*P. F. Laud. w Boh. Zesz. I i II. P. Leszcz. w Sobol. Zesz. I i II. P. Kurnat. w Łodzi. Zesz. I i II. P. St. B. w Petersb. Zesz. I. Dr. W. Kud. w Szak. Całość.*  
 Nast. pisma peryjodyczne zostały zaprenumerowane:  
*Pani St. Czern. w Mińsku. „Wiecz. Rodz.“, I i II kw.  
 Pani W. Łych. w Kijowie. „Gaz. Pol.“ 3 rs.  
 Pani K. Przeg. w Nowor. „Tyg. M. i Pow.“, I i II kw.  
 Dr. Stęp. w Wysz. „Kur. Codz.“, II kw.  
 Dr. R. Mor. w Żółk. „Kur. Codz.“, II kw., oraz książeczki ludowe.  
 P. A. Harus. w Łom. Z r. b. pozostało 3 rs., otrzymaliśmy 2 rs., razem 5 rs.  
 P. A. Doug. w Mar. Marx, t. III, wysłany.  
 P. Paszk. w Clarens. Zesz. I „Inst. Kość“ wysłany.  
 P. B. w Zur. Za słowa uznania serdecznie dziękujemy. Przesłany materiał użytkowaliśmy w dzisiejszym nrze w rubr. „Z obcego świata“.*

W administracyi „Głosu“ jest tanio do sprzedania mało używany egzemplarz Nauki języka francuzkiego d-ra Loewego.

Nakładem Głosu wyszło z druku dzieło

Herberta Spencera  
pod tytułem

## INSTYTUCYJE POLITYCZNE

tłumaczone z oryginału przez

J. K. Potockiego.

Cena rs. 2 kop. 40.

Dla prenumeratorów „Głosu“ rs. 1 k. 80.

Są do nabycia jeszcze I i II zeszyty INSTYTUCYJ POLITYCZNYCH po cenie 80 i 60 kop. Dla prenumeratorów „Głosu“ cena 60 i 45 kop.

Nakładem redakcyi „Głosu“ wyszło z druku nowe wydanie słynnej powieści Edwarda Bellamy'ego

## W ROKU 2000

ozdobione portretem autora i uzupełnione rozdziałem dodatkowym.

Cena 60 kop.

# OGŁOSZENIA GŁOSU.

Zostały rozesłane prenumeratorom

## ZESZYTY 11 i 12

## NASTOLNYJ ENCYKLOPEDICZESKIJ SŁOWAR'

Wydawnictwo A. Garbel i Sp.

(wyrazy od *Bezaja* do *Bismark*) 25 portretów (*Bezborodko, Eliz. Bokker, Bell, Benedetti, Benediktow, Beranger, Berlioz, Sara-Bernhard, Berrier, Bercecius, Ber, Bessel, Bestużew-Riumin, Betling, Bethoven* i t. d.) 15 rysunków w tekście i 2 geograficzne karty, (*Australija, Polinezyja, Azija połdn.-zachodnia i ziemie nad Nilem*).

Oddzielne zeszyty sprzedają się we wszystkich księgarniach po 30 i 40 kop., zależnie od gatunku papieru. **Warunki prenumeraty:** za 14 zeszytów z przesyłką i odnoszeniem do domu, na pięknym papierze 5 rs. 80 kop., na zwyczajnym 4 rs. 40 kop., wyłącznie w głównym kantorze Słownika: Moskwa, Twierskaja, Gniezdnikowski per. d. Martynowoj. Żądający oddzielnych zeszytów dołączają za każdy zeszyt 10 kop. (pocztowymi markami) na koszta przesyłki.

W Kantorze Słownika można dostać: „*Putieszestwie Stenli dla oswoobodzenia Emina-Paszi*“ z 52 rysunkami i mapą. Cena z przesyłką 1 rs., bez przesyłki 75 kop., „*Zawojowanie Alżira*“ z 4 rysunkami w tekście 30 kop., „*Wremiennyja Prawila o Wołostnom Sudie*“ z przesyłką 1 rs.

Adres: ulica Niecała  
Nr. 12.

Cena całego dzieła, Cena zeszytu  
opłacona z góry 7 rs. 15 kop.

Encyklopedyja  
Encyklopedyja  
Encyklopedyja

# E. H.

Humoru  
Humoru  
Humoru

Cena tomu opłaconego z góry 2 rs. Wychodzi mniej więcej w odstępach tygodn.  
Wyszedł z druku zeszyt XLIII.

## INTROLIGATORNIA

Władysława Wiśniewskiego

przyjmuje wszelkie roboty w zakresie introligatorstwa wchodzące.

Ceny broszurek zniżono.

## FABRYKA PUDEŁEK

Maryi Wiśniewskiej

podejmuje się większych i stałych dostaw pudełek.

Marszałkowska N. 114 róg Złotej N. 9.

8—8

Są do nabycia w księgarniach dzieła naukowe pedagoga Plato v. Reussnera

## NAJLEPSZA METODA

do nauczenia się bez Nauczyciela czytać pisać i rozmawiać po niemiecku w 3-eh miesiącach, po angielsku w 24 lekcjach. Cena metody niemieckiej kurs wyższy rs. 1 k. 60. Komplet, t. j. kurs niższy i wyższy razem, tylko 2 rs. Metoda angielska z wymową, kurs niższy k. 75. **Najlepszy Elementarz Polsko-Niemiecki i Rusko-Niemiecki** z wymową, z 14 wzorkami pisma i 200 rycinami kop. 35, 30, 20 i 10 (oprawy kop. 45). **Najnowszy Elementarz Polski** z 20—40 wzorkami pisma, rysunków i rycinami (obrazkami) razem 340 Figur, tudzież ze wskazówkami pedagogicznymi k. 25, 20, 15, 10 i 5. Powieści **Polsko-Niemieckie** 20 kop. Powieść **Ali-Baba** i 40 zbojów 15 k. **Myśliwi Giezm**, powieść 10 k. Na przesyłkę pocztową dopłaca się do każdego rubla po k. 20.

Skład główny u autora (P. v. Reussnera) ulica Marszałkowska Nr. 142 w Warszawie.

**DIWANY,** wszelkie pokrycia meblowe, Koldry, Kapy, Chodniki, Serwety, najlepiej kupować w głównym składzie **Giełżyńskiego**, Marszałkowska 137.

## DOSTAWCA DWORU

Cesarsko - Austryjacko - Węgierskiego.



**Niszczy grzybek drzewny i osusza wilgoć raz na zawsze i t. p.**

**Broszurkę**, niezbędną dla każdego budującego wysłać franco i bezpłatnie.

Wyn. Inż. Tech. **G. RITTER**  
Królewska Nr. 39.

## JEDYNY ŚRODEK!

Dla uniknięcia kataru, przeziębień, a często i smutnych następstw z przyczyny przemoczenia nóg jest

## OBUWIE NIEPRZEMAKALNE

wyrabia je pracownia

**Hipolita Oleszyńskiego**

nagrodzona medalem srebrnym.

Nowy Świat 17 (róg Alei).



## SZKICE FOTOGRAFICZNE

z

## „Zakutego-Grodu”

przez

Kazimierza Glińskiego

(Dalszy ciąg).

Sadłowski wyjął rubla, dodał jeszcze pięćdziesiąt kopiejek i dając Jakokowiczowi mruknął:

— Masz... tylko tam milcz o tej opiece.

— Pan dobrodziej dziesięć złotych przeznacza, slichnie! Tak co miesiąc.

Pocałował w jedno, drugie ramię i ruszył do siebie.

W rozkładzie kontrybucji Jakokowicz odznaczał się wielką sumiennością. Trzymał się zasady: według stawu grobla. Od dziesięciu groszy do rubla miesięcznie najwięcej mu płacono; ale Sadłowski to gruba ryba, ofiarował zresztą sam naddatek, jednorazowo wprawdzie, lecz Jakokowicz zrozumiał niby inaczej.

A trudno było do kontrybucji zmusić pana Kleofasa, Jakokowicz więc zaczął dowiadywać się cichaczem, czy jakiej tam notabienki na nim by nie znalazł. Wąchał, szukał i wyszukał, nic nadzwyczajnego, jeno to, że Sadłowski był opiekunem małoletnich dzieci nieboszczki siostry swojej. Ale Jakokowicz znał ludzi, w uczciwość zresztą nie wierzył. Opiekunowie lubią czasem pewne malwersacje popełniać. Po rozum do głowy... ni ztąd ni zowąd nopolnknął o opiekuństwie, nożyce się odezwaly i on zyskał dziesięć złotych pensji miesięcznej. Rzecz jasna, że płacili mu tylko ci, którzy się do czegoś niedobrego poczuli. Pan Aleksander, jako doktor od liszaja—Jakokowicza, zwolniony był na zawsze; Adela i Honorata pierwsze mu złożyły należność, pan Henryk stanowczo odmówił. Nie uszłoby mu to na sucho, ale Jakokowicz w innej formie haracz tu sobie obmyślił.

## III.

## „Sen nocy letniej”.

Było blisko południa, kiedy się Jakokowicz obudził. Przeciągnął się, ziewnął szeroko, wreszcie się podniósł, spuścił nogi i zaczął przypatrywać się papuciom, namysławiając się, jakaby parę wziąć dzisiaj wypadało. Koło łóżka stało ich z piętnaście. Żółte, zielone, czerwone, żółto-zielone, zielono-żółte i tak dalej. Jedne były wyszywane grubemi, jedwabnymi nićmi, inne paciorkami rozmaitych kolorów; tamte szerokie, płaskie, te znów z ostremi a wyróconemi końcami do góry. Były to dary czcicielek pana Kajetana, jak i szlafroków kilka, które w dużej, orzechowej szafie wisiały.

— Żółte?... zdrada!... Zielone?... nadzieja!... Bon!... Bierz Kajciu zielone dzisiaj!...

Tak mówił do siebie, przypatrując się cichostępom.

Pełen dobrej myśli, Jakokowicz wyzielenił się cały. Zielone papucie, zielony szlafrok, zieloną włożył myckę na głowę, nawet mydłem zielonym umył się. Popatrzył w zwierciadło, uśmiechnął się zadowolony i ruszywszy parę razy lewym uchem, zadzwonił na starą Katarzynę, podniósł roletę i usiadł w fotelu.

Tłusta, niska, pękata, a brzydka, jak siedem

grzechów śmiertelnych, z zawiązaną czerwoną chustką na głowie, wtoczyła się Katarzyna.

— Ach, serce!—szepnął Jakokowicz—jakżem się wyspał porządnie! A jaki sen miałem, rozkosz!

— A co się jegomościowi śniło, he?—spytała baba.

— Co się śniło, Kaciuchno?... raj po prostu.

— To znaczy niebo, jegomościu, he?

Jakokowicz westchnął głęboko i uśmiechnął się jak satyr.

— Śniło mi się, Kaciuchno, że byłem sobie Oberonem.

— Oberwanym?...—zawołała Katarzyna, wytrzeszczając oczy.

— Głupia ty, Kaciuchno, głupia!... Dawaj kawę!

— Z obwarzaneckami jegomość każe, czy z suchareczkami?

— A zkądże ty wzięła tych delicyj, Kaciuchno?

— Adelfka i Honorata przysłały.

— Święte kobiety!—zawołał Jakokowicz—dawaj jedne i drugie!...

Po chwili imbryk duży i garnuszek z przepyszny kózuszką na śmietance stał przed Jakokowiczem. Zjawiły się także i przysłane specyjały. Jakokowicz zabrał się do śniadania, baba do robienia porządku.

Bardzo przyzwoicie pan Kajetan mieszkał. Trzy pokoje, przedpokój i kuchnię miał, z której tylko użytkowała Katarzyna, bo on na obiady regularnie do znajomych chodził. Przed domem był mały ogródek z widokiem na katedrę, w salonie zaś, w kącie, urządził rodzaj kapliczki z Matką Boską Berdyczowską, co go podnosiło w oczach mieszkańców Zakutego-Grodu. Czasem miewał kazania, któremi Adelę i Honoratę do łez poruszał. Czciła go też i Kaciuchna i niemal za świętego uważała.

Jakokowicz był dla niej bardzo dobry, bo baba była plotkarką pierwszej ręki i znaczną część wiadomości, uronionych przez swego chlebodawcę, zbierała po drodze. Płacił jej najczęściej medalikami i obrazkami świętych, ale baba miała ką ciepły, ciepłą strawę i wielkie zaufanie pana. Skocz, zeżyj, podrzuć list tam a tam: biegła, lgała, podsuwała paszkwile i dobrze było. Nie wygadała się nigdy z niczem, jeżeli wyraźnego na to pozwolenia nie miała, słowem: niejedną parę butów dyjabła zdeptał, zanim taką dwójkę wynalazł.

— Kaciuchno, czy ty wiesz, gdzie ja ciebie pchnę dzisiaj,—mówił Jakokowicz, smokcząc sucharek.

— He?

— Musisz mi serce usłużyć. Łajdactwa takie dzieją się między ludźmi, że już wytrzymać nie mogę.

— Z jegomością święty człowiek, to oburza się, jak coś nie wedle pana Jezusa idzie.

— O to-to, właśnie—zawołał, wciągając językiem rozmoczony w kawie sucharek.—Musisz mi machnąć na Dołki.

Katarzyna aż podskoczyła.

— A co tam każe robić jegomość?

— Słuchaj-no, Kaciuchno, czy znasz ty domek Magdusi?

— Oj, jegomość, uszy mi czegoś wędna!

— Ile to tam—chcianoby—za wynajęcie... na miesiąc?

— Hee?...

Jakokowicz powtórzył pytanie.

— Chyba jegomość nie wie, na co on się najmuje, że takie nieakuratne pytanie daje?

— Właśnie, że wiem, dlatego pytam i dlatego chcę najać.

— Dla siebie... ?!...

— Jaka ty głupia, Kaciuchno! strasznie głupia! Chcę wynająć ten domek dla jednej bardzo biednej kobiety, a chcę wynająć ten właśnie dlatego, żeby w nim mieszkali ludzie uczciwi, nie jakies licho się wałęsało.

— A, a!

— Widzisz, na jakie to ja sposoby się biorę, by zło wyplenić?...

— A co to za kobiecisko, którą się jegomość tak litościwie zajmuje?

— Wdowa biedna, sama jedna na świecie, a zacności kobieta. Niepomódz jej byłoby grzechem. No, jak tam się płaci... miesięcznie, nie wiesz?

— Drogo zechcą!—mruknęła Katarzyna.

— Dziesięć, dwadzieścia, trzydzieści rubli dam, jak Boga Kocham, dam!

— Dołóżcie no z dziesiątkę jeszcze, bo inaczej nie oddadzą.

— Dam!—zawołał Jakokowicz—co utargujesz, to utargujesz. Nie mów oczywiście nic, dla kogo? kto? i dlaczego?, bo ty wiesz, że Pan Jezus powiedział: co daje prawica, niech nie wie lewica. A toby się zaraz po mieście rozeszło, ot! i nie byłoby przed Panem Bogiem zasługi. Na, rubli piętnaście na zadatek..., resztę za parę dni. Skocz duchem i wracaj, a... ja... z tą nieszczęśliwą wdową zobaczę się i sam ją tam zaprowadzę.

Kaciuchna, przejęta uwielbieniem, ruszyła. Jakokowicz, wypiwszy kawę, zabrał się do upiększenia swojej osoby. Wygolił się, poczerenił brwi, pudrem przysypał twarz całą; garderobę przejrzał, odłożył wybrane rzeczy na bok i spojrzął na zegarek.

— Muszę do Dosi wpaść wieczorem—pochodzimy po ogródku i poszeptamy sobie. Gdyby nie ten Sadłowski, wczorabym jeszcze na miejscu interes ubił.

Zaczął przechadzać się po pokoju...

— Strach, jak ona zadurzyła się we mnie! Potarł ręce...

— Ostrożnie tylko Kajciu, bo ten Henryczysko...

— E! Jakokowicza nikt nie posadzi. Pensyjki odmówił, czem innem zapłacić mi musi, a pani Dorota moja będzie!... Tytanija... Oberon!... Tytanija moja!... Oberon... Tytanija!... Jak ona niby niechący do zrozumienia mi dala!... Tytanija... Oberon... domek Magdusi!...

„Ojciec nasz, któryś jest w niebiesiech... i tak dalej, zaczął pacierze odmawiać...

Inaczej dzień rozpoczął ksiądz Anioł.

Przy wielkim rynku, który stanowił środkowy punkt miasta, stały seminaryjskie mury. Pomiędzy dwoma kamienicami, należącymi do zabudowań kościelnych, była szeroka brama do kościoła wiodąca. Kościół, niegdyś Bernardynów, stał po środku obszernego placu, za nim rozciągał się ogród cienisty, wysokim obwiedziony murem, miejsce rozrywek kleryków i nauczycieli. Zaraz za ogrodową furtką widniał kamienny posąg Matki Boskiej.

Z cieniami nocy łamał się blask świtu, gdy ksiądz Anioł powrócił z doktorskiej uczty, unosząc w drżących palcach paljową różę. Wszedł szybko do swego pokoju na piętro i pierwszym staraniem jego było zabezpieczyć choć na dni kilka byt kwiatu. Wziął więc kubek gliniany i po drewnianych schodach zbiegł do ogrodu, gdzie sączył się źródło zimnej wody. Pochylił się, napełnił naczynie po brzegi, kwiat włożył, do wątych listków przytulił usta i miał odchodzić, gdy nagle wzrok jego padł na cichy,



światłem księżycy obłany posąg Matki Boskiej.

Zatrzymał się, wzrok podniósł ku górze i chwilę stał tak, patrząc. Uczuł potrzebę spowiedzi, bo ciężar miał na sercu, bo miłość jego mogła się tylko w przyszłości skończyć, hańbą lub męczeństwem.

Nie! on nie miał prawa do tego kwiatka nawet. Mógł wszystkie zerwać, które barwistą wstęgą rozścielały się w koło niego, zarzucić niemi ubogi swój pokój, udusić się wonią ich wszystkich, lecz do tej róży nie miał prawa!

Stał przed posągiem sam jak posąg, czuł jakiś ból przedśmiertny, konanie czegoś—tam, w głębi istoty swojej.

Nagle nogi mu się ugięły i runął na kolana, uderzając czołem o zimną kolumnę posągu.

Kłęczał długo, cichy płacz rozrywał mu piersi, z oczu biegły łzy duże.

Zimna rosa poranku srebrnymi kroplami usiadła na listkach traw, gdy chwiejny, drżący, podniósł się z kłęczek. Stał chwilę, aż, unosząc kubek z paljową różą ku postaci świętej, wyszeptał:

— Oto mojego życia grzech, radość i boleść moja!...

Postawił naczynie u stóp Matki Boskiej i zbliżył się do wyjścia... Zawrócił jednak, by raz jeszcze wzrok rzucić na kwiat zostawiony, napaść oczy jego widokiem, zmysły wonią. Odchodził i powracał razy kilka, tak mu trudno było z tym marnym kwiatkiem się rozstać.

Ale on nietylko różę widział w tym kwiecie.

Zauważyli klerycy i księży, że chwiejną nogą przestępował próg wykładowej sali, o oczy miał znużone, twarz bladą.

— Dobrze ugoszczono ichmością, jak widzę, ledwie się trzymasz na nogach, co? — rzekł ksiądz rektor.

— Wróciłem o drugiej.

— To wcześniej.—A jadłeś dużo, he?

— Wypiłem szklankę herbaty, nic nadto.

— A wina, he?

— Za zdrowie solenizantki spełniłem kielich.

— Czegożeś taki zaspany?

— Noc przepędziłem bezsennie... chory jestem, ale to przejdzie!

— Nie jeść, nie pić, nie spać i zdrowie mieć, to byłoby nadnaturalne!... Ja u pasterza coś tam przekąsiłem, a ichmość wiesz, że u niego coś tam, to nic prawie. Żyje jak anachoreta, szczególne upodobanie!

Ksiądz Anioł zakaszłał.

— Kaszlesz?... Weź na cukrze piętnaście kropel króla duńskiego; doskonały środek!

— Dobrze, spróbuję — odpowiedział ksiądz Anioł.

— A przygotowałaś, ichmość, na jutrzejszy dzień kazanie?

— Mam je w pamięci.

— Cha, tak, bez pisania?

— Tak, księże rektorze!

— Spraw mi się ichmość dobrze, bo biskup będzie celebrował.

Miał się na wyjściu, lecz się odwrócił i rzekł:

— Nie zapomnij! piętnaście kropel na cukrze, a przejdzie!...

Wszedł, szlapiąc nieco nogami, bo stary był... Ksiądz Anioł zasiadł na katedrze.

Godność profesorską sprawował od niedawna. Homilja należały do niego.

Mówił gładko z pamięci, przeskadzał mu czasem kaszel. Widać zaziębił się, kłęcząc długo na zimnej rosie u stóp posągu.

Około godziny dwunastej ktoś zapukał do drzwi jego pokoju. Była to pani Adela z kłosem winogron. Ucałowała obie ręce księdza, modlitewnie w oczy mu patrząc.

— I na co to, pani? — zapytał ksiądz z uśmiechem niechęci.

— Spotkałam księdza rektora, który mi powiedział, że ksiądz kaszle.

— Cóż w tem dziwnego? czy mi nawet kaszlać nie wolno?

— Nie wolno, księże Aniele, nie wolno, bo nam potrzebny jesteś.

— Przecie jeszcze nie umieram.

— A niech Matka Najświętsza bron!

— Więc—przerwał ksiądz Anioł—podarunek pani jest zbyt cenny. Winogrona teraz są drogie; lepiej ten grosz tym oddać, którzy chleba nie mają.

— Nie zapominam i o tych, mówię, nie zdradzając się.

Pani Adela przedłużyła rozmowę, wodząc niespokojnym okiem po wszystkich kątach pokoju. Na oknach i stolikach było sporo doniczek z kwiatami, ale paljowej róży nie było.

Zakołatano w drzwi znowu.

— Proszę!—odezwał się ksiądz Anioł.

Wpadła Honorata z koszem kwiatów.

— Czy i to jako środek od kaszlu?—zapytał obdarzony.

— Ksiądz dobrodziej kaszle?

— Ja nie wiem, ale tak mówią. Zdaje się, że parę razy zakaszlałem.

— O Boże! leć po ślazowe ciastko.

— Ależ pan!

— Z rumiankiem popijać, niezawodnie pomoże. Apteka tuż, tuż, zaraz wróć... Do widzenia, drogi księże Aniele! do widzenia!...

Postawiła kosz na stole i wybiegła szybko.

— Niech pani usiądzie—zwracając się do Adeli, rzekł ksiądz Anioł.

Po chwili wszedł stary sługa księdza i wręczył mu list mały.

Pani Adeli zabłysnęły oczy, list był wonny, na kopercie dostrzegła znak jakiś, jakby splecione dwie litery.

— Pani Troińska... szepnął ksiądz Anioł.

Adela poruszyła się w krześle.

— Czy ksiądz proboszcz—(u księżowskiego sługi wszyscy księży byli proboszczami) da odpowiedź?—zapytał.

— Zaraz.

— Zaraz—powtórzył Kasper.

— Może odpowiedź potrzebuje namysłu, w takim razie... — zawołała pani Adela, robiąc ruch jakby do wyjścia.

— Nie, pani—odezwał się ksiądz Anioł, wyjmując swój wizytowy bilet—na długie odpowiedzi czasu nie mam.

Wziął pióro i napisał krótkie:

„Bede”.

Włożył do koperty i oddał Kasprowi, który krokiem powolnym, przechylając się nieco na lewo, to naprawo, wyszedł z pokoju.

Pani Adela dostrzegła napis!...

Mówił wiele, mówił ogromnie wiele! ale na jakie to pytanie odpowiedź była? co zawierał list Dosi?...

Ksiądz Anioł list ten ukrył w zanadrzu.

— Dosi pisała? — rzuciła niby od niechcienia.

— Tak!—odpowiedziano.

— Co pisze ten aniołek?

— Co?...

W tem długim „co?” pani Adela dostrzegła chęć ukrycia tajemnicy.

— Jaka to dobra istota — zaczęła.—Doprawdy! każe się sama kochać... Czy to prawda,

księże Aniele, że z charakteru pisma można poznać duszę człowieka?

— Nie studyjowałam tej nauki pani, więc nie wiem.

— Dosi musi pisać okrągłym charakterem, bo powiadają, że okrągły charakter pisma oznacza cnotę.

— Pani Dorota ma pismo podługowate.

— Doprawdy?—chciałabym zobaczyć!...

Ksiądz podsunął kopertę.

— Może się pani łatwo przekonać.

— O! księże Aniele, na kopercie zwykle sztychują. Jeżeli wierzyć w grafologię, to wszystkie adresy kładzione na wierzchu listów byłyby na to tylko, by w błąd odgadywacza wprowadzić. Dopiero list sam, pisany bez myśli nadawania pewnych sztucznych kształtów literom, może coś powiedzieć.

Ksiądz wy dostał list Dosi.

— Różnica mała.

— Ale jest—przerwała pani Adela, podnosząc się z siedzenia.

— Prawie żadna.

— O, musi być!...

Wyciągnęła rękę.

— Niech pani spojrzy.

Adela wyrwała list... nie na litery patrzyła, lecz czytała gorączkowo.

List zawierał te słowa:

„Henryk wyjechał do majątku; nie chciał leniuch wyruszać, czując się nieco zmęczonym po wczorajszym wieczorze, ale go wyprawiłam par force. Czy ksiądz dobrodziej będzie dziś u mnie? — Wszystko gotowe.

Sługa

D. T...”

Pani Adela niewiele się dowiedziała z listu, lecz dopełniła go swojemi myślami. Ksiądz z ręką wziął pismo Dosi i zapytał z uśmiechem:

— Jak pani teraz sądzi o charakterze pani Troińskiej?

— Pismo podługowate oznacza miłosierdzie.

— A pani jakie ma pismo?—zapytał ksiądz, podnosząc oczy na interlokutorkę, przyczem usta ledwie dojrzanym zadrgały mu uśmiechem.

— Podługowato - okrągłe—wypadło szybko z ust Adeli.

— Cnota i miłosierdzie w połączeniu—szepnął ksiądz Anioł.

Pani Adela oblała się rumieńcem; szept księdza miał coś kołącego w sobie.

— Zostawiam winogrona, — odezwała się, a po koszyczek przybiegnę.

— Odeszł pani—rzekł ksiądz szybko.

— O! ksiądz zapomni, będąc w miłym towarzystwie Dosi!... Do widzenia, drogi ojciec, do widzenia!

Pocałowała w obie ręce, raz jeszcze rzuciła okiem po pokoju i wyszła.

Ksiądz Anioł zanadto był zajęty własnymi myślami i nie był w usposobieniu zastanawiania się nad słowami pani Adeli, ani nad wywołaną umyślnie rozmową o grafologii. Spojrzał tylko na ogromny kosz winogron i drugi pełen kwiatów, ułożonych w bukiet misterny, podszedł do drzwi, które do połowy otworzył i zawołał:

— Kasper!...

(Dalszy ciąg nastąpi).